

STAR TREK – NIEZNANE WĘDRÓWKI

NOWA Fantastyka

06 (369) 2013 MIESIĘCZNIK MIŁOŚNIKÓW FANTASTYKI 9 ZŁ 99 GR (w tym 8% VAT)



W SPRZEDAŻY
OD 6 CZERWCA

WYWIAD ZE
SCENARZYSTĄ
„IRON MANA 3”

CZŁOWIEK
ZE STALI
– Z KRYPTONA
NA EKRANY

CZY WSKRZESIMY
DINOZAURY?

SELF-PUBLISHING
JAK SAMEMU WYDAĆ
POWIEŚĆ?

OPOWIADANIA:

MIKE CAREY

KEN LIU

JEREMIAH TOLBERT

JEWGIENIJ T. OLEJNICZAK

PROSZYŃSKI
MEDIA

CLAY ENOS © 2013 WARNER
BROS. ENTERTAINMENT INC.
AND LEGENDARY PICTURES
FUNDING, LLC

ISSN 0867-132X



06



INDEKS 358398

9 770867 132305

POLECAMY W CZERWCU:

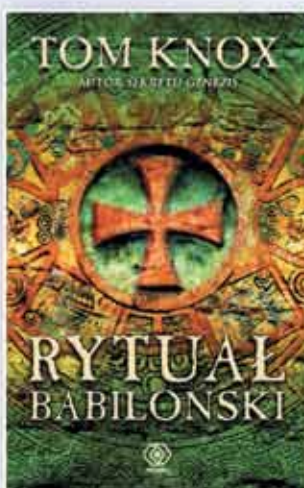


Piąty tom cyklu KRÓLESTWO ZMIERZCHU.
„Przejmująca opowieść, galeria bohaterów odmalowanych z realistyczną precyzją, bogata narracja z elementami romansu rycerskiego i porywającymi scenami batalistycznymi – wszystko to składa się na piśmarstwo Lloyda”. – „Library Journal”

Najnowsza część cyklu HONOR HARRINGTON.
Honor Harrington powraca, by chronić Manticore przez groźbą całkowitej zagłady...



Wznowienie jednego z najgoręcej przyjętych debiutów fantasy ostatnich lat. Polecamy też *Strach mędrca* – drugi tom cyklu KRONIKI KRÓLOBÓJCZY.



Tom Knox – autor bestsellerowego *Sekretu Genesis* – powraca z nową, elektryzującą powieścią, w której czytelnik znajdzie krwawe rytuały, tajemnice historii, globalny spisek i rozgrywki gangów narkotykowych, ale także miłość, która pokona największe przeszkody.



Kolejna książka Dicka w opracowaniu graficznym i z obrazami Wojciecha Siudmaka. Ostatnio ukazały się: *Czas poza czasem* oraz *Przez ciemne zwierciadło*.





04

Ostatni syn Kryptona wraca na ekrany kin. Czy ma szansę odzyskać utraconą pozycję pierwszego wśród superbohaterów?



10

Idea „Parku Jurajskiego” jest deekstynkcja. Termin ten został ukuty całkiem niedawno i oznacza wskrzeszenie wymarłych gatunków. Jednak czy od razu dinozaurów?



14

„W ciemność Star Trek” trafia właśnie na ekrany kin. Ale filmy J.J. Abramsa to nie jedyny projekt wskrzeszenia dzieła Gene’a Roddenberry’ego.



65

„Baśnie” Billa Willingham’a to wysmienita, obsypana nagrodami seria komiksowa, która w jedenastym tomie – „Wojnie o pokój” – dotarła do wielkiego finału.



Fot. M. Kowalczyk

STREFA

Przypadkiem zbiegły mi się w czasie dwie lektury. Pierwszą był przypomniany po latach „Piknik na skraju drogi” Strugackich. Drugą – *mainstreamowa* powieść Adama Johnsona, „Syn zarządcy sierocińca”, zdobywca tegorocznego Pulitzera. Zestawienie okazało się wybuchowe.

Co do Strugackich, wiadomo, że to fantastyka najwyższej próby. Kto „Piknik...” czytał, ten wie, że od tej historii, jak się w nią wmyślić, dreszcze przechodzą. Klasyka. Jednak co zrobić z Johnsonem i jego wstrząsającą wizją? Przeczytałem i nie wiem. Przeczytałem i czułem lód w kręgosłupie. Jeżeli jest, jak on pisze, to trzeba powiedzieć otwarcie, że koszmary Orwella, Kafki i takich na przykład Strugackich spełniły się, lub są w trakcie spełniania. Może nie tuż za rogiem, ale jednak na tej samej planecie. Opowieść o Koreańskiej Republice Ludowo-Demokratycznej, jaką snuje amerykański autor, przeraża wcale nie gorzej niż klasyka antyutopijnego SF. Powinna zresztą przerażać nawet mocniej, ponieważ – i nie sposób tego faktu przeoczyć, bo jest on tutaj kluczowy – Johnson pisze o państwie, które istnieje. Pisze o Strefie, w której co prawda Lądowania nie było, ale ona – tak jest – ma się nieźle. Pisze o *czasie okrutnych cudów, który nadszedł* (ten cytat z Lema jest u Strugackich). Pisze o rytuałach, obyczajach, nakazach i przymusach, które raz wprowadzone w życie doprowadziły do stworzenia społeczeństwa doszczętnie oglupionego, a w dodatku niewiedzącego, że powinno buntować się, walczyć. W dodatku, momentami to społeczeństwo robi nawet wrażenie radosnego. I jeśli ktoś tam czyta o *szczęściu dla wszystkich za darmo* i żeby *nikt nie odchodził skrzywdzony* – może im się wydawać, że to o nich. Przypomina się jeszcze inny bohater, innej zupełnie książki i jego: *Zgroza. Zgroza*.

Jeżeli chcecie wziąć na wakacje coś dobrze napisanego, *mainstreamowego*, a zarazem w okrutny sposób „fantastycznego”, co jest jednocześnie najkrwawszym realizmem, sięgnijcie po „Syna zarządcy sierocińca”. Lecz jeśli nie chcecie mieć przy tym koszmarów, nie łączcie tego z „Piknikiem...”.

Jakub Winiarski

PUBLICYSTYKA

- 2 ZAPOWIEDZI
- 3 O POŻYTKACH PŁYNĄCYCH Z ZAPASÓW... *Michał Cetnarowski*
- 4 Z KRYPTONA NA EKRANY *Andrzej Kaczmarczyk*
- 7 ZRÓB TO SAM? *Marek Grzywacz*
- 10 DZIECI DOKTORA GRANTA *Wawrzyniec Podrzućki*
- 12 AKCYJNIKI SŁOWEM SILNE Wywiad z *Drew Pearce'em*
- 14 STAR TREK – NIEZNANE WĘDRÓWKI *Andrzej Kaczmarczyk*
- 63 RADY DLA PISZĄCYCH, ODC. 18 *Michael J. Sullivan*
- 65 NIE TAK DAWNO TEMU *Marcin Zwierzchowski*
- 72 IN PIVO VERITAS *Rafał Kosik*
- 73 GENY I SZTALUGI *Peter Watts*
- 78 NIEDOBRZE MI *Łukasz Orbitowski*

PROZA POLSKA

- 17 SKOMPLIKOWANA CIEMNOŚĆ *Lucyna Grad*
- 28 WIDMA Z CZTERNASTEJ DZIELNICY *Jewgienij T. Olejniczak*

PROZA ZAGRANICZNA

- 41 ARCHIWISTA KULTUROWY *Jeremiah Tolbert*
- 48 DRUGI ODDECH *Mike Carey*
- 56 MONO NO AWARE *Ken Liu*

RECENZJE

- 67 KSIĄŻKI 74 FILM 75 KOMIKS



W NASTĘPNYM NUMERZE:

Jakub Wojnarowski
Pomarańczowa czupryna Marlowe'a
Leah Cypess
Dzień Niani

FANTASTYKA WYDANIE SPECJALNE 2/2013
OD 25 KWIETNIA



Z KRYPTONA NA EKRANY

ANDRZEJ KACZMARCZYK

SIEDEM LAT PO ROZCZAROWUJĄCYM „SUPERMAN: POWRÓT”, TRZYDZIEŚCI PIĘĆ LAT PO PIERWSZYM „SUPERMANIE” Z CHRISTOPHEREM REEVE’EM, OSTATNI SYN KRYPTONA WRACA NA EKRANY KIN. CZY MA SZANSĘ ODZYSKAĆ UTRACONĄ POZYCJĘ PIERWSZEGO WŚRÓD SUPERBOHATERÓW?

Kim jest Superman, tłumaczyć chyba nie trzeba. Jednak żeby mówić o nadchodzącym restarcie kinowych przygód Supermana i wiązanych z nim nadziejach, wypada przypomnieć historię Clarka Kenta na wielkim i małym ekranie – jest ona niemal tak długa, jak jego historia na kartach komiksów.

PIERWSZE LOTY

Pierwszy raz Superman ożył w 1941 roku w serii krótkometrażowych animacji wyprodukowanych przez **Fleischer Studios**. To właśnie dzięki nim Superman nauczył się latać. Wcześniej potrafił tylko bardzo wysoko skakać, ale twórcy uznali, że wygląda to najwzyczajniej w świecie głupio i ostatecznie wyzwolili go spod władzy grawitacji. Kreskówki Fleischera były również wzorem i źródłem inspiracji dla twórców kultowych seriali o Batmanie i Supermanie w latach 90. oraz dla słynnego reżysera filmów anime Hayao Miyazakiego. Niestety, w późniejszych odcinkach coraz częściej mieliśmy do czynienia z propagandą czasu wojny, może mniej nieznośną w porównaniu do wielu innych (mowa o czasach, kiedy nawet Kaczor Donald był elementem tej maszyny), ale niewątpliwie przyjemniej ogląda się dziś

wczesne odcinki o robotach i szalonych naukowcach, niż te o „Japończykach”.

Jeszcze pod koniec lat 40. Superman doczekał się aktorskiego filmu, a dokładniej pokazywanego w kinach serialu zatytułowanego po prostu „Superman”, oraz jego sequełu z 1950 r., „**Atom Man vs. Superman**”, w którym po raz pierwszy na ekranie pojawił się jego arcywrog Lex Luthor. Rok później do kin trafił „**Superman and the Mole Men**”, nie był jednak kontynuacją poprzednich, a zupełnie nową, pełnometrażową produkcją, której sukces zaowocował telewizyjnym serialem „**Adventures of Superman**”. Był to film o tyle niezwykły, że Superman nie walczył w nim z żadnym komiksowym czarnym charakterem, a tytułowi „ludzie krety” nie byli w ogóle jego wrogami. Tę rolę pełnili wymachujący strzelbami na prawo i lewo zwykli ludzie, z powodu strachu i nieufności polujący na przedstawicieli odkrytej przypadkiem podziemnej cywilizacji. Całość, przez obawy przed materiałami radioaktywnymi i atmosferę paranoi, jest bardzo wyraźnie produktem czasów wczesnej zimnej wojny.

Podobnie poważne podejście cechowało pierwsze dwa sezony serialu. Superman walczył z gangsterami, odcinki pełne były akcji i nie stroniono od przemocy. Kolejne

cztery sezony były zdecydowanie łżejsze – przestępcy byli bardziej przerysowani, a przemoc było coraz mniej. Serial cieszył się dużą popularnością, jednak z czasem oglądalność zaczęła spadać, a ostatecznym kres jakikolwiek planom na przyszłość położyła tragiczna śmierć grającego Supermana **George’a Reevesa**.

WZLOT I UPADEK

Można powiedzieć, że przez następne dwadzieścia lat Superman poza komiksami leciał na oparach dawnej sławy – w tym okresie powstały jedynie seriale animowane „**The New Adventures of Superman**”, a potem „**Superfriends**”, które, delikatnie mówiąc, nie zeszły się najlepiej i nic szczególnie wartościowego do historii Człowieka ze Stali nie wniosły. Dopiero pod koniec lat 70., kiedy komiksy stopniowo odrzucały idiotyczne, campowe scenariusze poprzedniej dekady, ale zanim pograżyły się w mrok i przemoc, które przyniosły lata 80., Superman powrócił na ekrany kin w słynnym filmie Richarda Donnera, z legendarnym w tej roli Christopherem Reeve’em.

Nowy „**Superman**” był ogromnym sukcesem. Zdobył uznanie zarówno widzów

ZRÓB TO SAM?

MAREK GRZYWACZ

JESZCZE NIEDAWNO

ISTNIAŁA JEDYNA SŁUSZNA DROGA

– PISARZ SZEDŁ Z KSIĄŻKĄ DO WYDAWCY W NADZIEI, ŻE OTRZYMA SZANSĘ. WYDAWANIE SAMODZIELNIE TO KARKOŁOMNE ZADANIE. W SUKURS PRZYSZŁA TECHNOLOGIA: INTERAKCYJNOŚĆ WEB 2.0, SPRZEDAŻ ON-LINE, CZYTNIKI E-BOOKÓW I INNE ELEKTRONICZNE GADŻETY.

SELF-PUBLISHING – TO SPOSÓB NA ŻYCIE WIELU LITERATÓW.

Jak donosił jesienią 2012 brytyjski „The Guardian”, w USA biznes samodzielnego publikowania wzrósł o **287%** w stosunku do roku 2006. To nie dziwi – spora część naszego życia, a z nim kultury, przenosi się do świata cyfrowego, co ułatwia też przeobrażenie konsumenta w twórcę. Ilość książek wypuszczanych bez wydawnictwa przekroczyła liczbę klasycznie wydawanych już w 2008 roku. Samodzielni autorzy zdobywają nie tylko uznanie w niszach, przyswoite zyski czy miejsce na listach Amazon.com – nie brak przykładów wysokich zarobków, medialnej sławy czy sprzedaży praw do hollywoodzkiej ekranizacji. Nie szukając daleko, Internet przyniósł sukces „Pięćdziesięciu twarzy Greya” E.L. James – faniowskiej sado-maso wariacji na temat „Zmierzchu”, odartej na potrzeby publikacji z wampirów i znanych postaci. Porusza to wyobraźnię ludzi odrzucanych przez wydawnictwa, które inwestują tylko w nieliczne ze spływających do nich manuskryptów. Zwłaszcza odkąd powszechne stały się możliwości podobne do tych, jakie daje Amazon Kindle Store, pozwalający każdemu z minimalną wiedzą stworzyć i wypuścić na rynek e-książkę. Aura niezależności kusi – to szansa wzięcia losu we własne ręce oraz rezygnacji ze zmagania się z redaktorami i selekcyjnymi, owymi „strażnikami bram” branży wydawniczej. A przede wszystkim wizja łatwej sławy i profitów – sprzedaż na Amazonie gwarantuje 70% zysku od egzemplarza, w porównaniu do zwyczajowego „do 10%” oferowanego przez wydawnictwo.

W praktyce jednak nie wszystko wygląda tak, jak sobie niektórzy wyobrażają.

E-TRIUMFY

Autorzy uprawiający self-publishing potrafią sprzedać sporo książek, ale sprzedaż e-booków idąca w miliony to domena popularnych autorów pod opieką wielkich wydawnictw. Są jednak wyjątki. Książki „królowej self-publisherów”, **Amandy Hocking** na czytnik Kindle rozeszły się w ilości ponad 2,5 miliona egzemplarzy; na początku 2011 roku osiągnęła średnią sprzedaży 9000 plików na dzień. Na podstawie jej najpopularniejszej trylogii „Trylle” może powstać film. Hocking, pisząca po nocach do szuflady pracownica ośrodka dla niepełnosprawnych z Austin, rzuciła pracę, aby spełnić literacki sen. Na jej dzieła – a miała już wtedy siedemnaście gotowych powieści – nie reagował jednak biznes. Po fali odrzuceń, w 2010 roku postanawia spróbować bez zewnętrznej pomocy. Boddżem była wystawa na temat Jima Hensona – jako fanka Muppetów nie chciała jej ominąć, a nie miała jak zapłacić za podróż do Chicago. Po kilku miesiącach zarabiała połowę swojej dawnej pensji, a to dopiero początek. Nie byłoby tak, gdyby nie świadoma decyzja marketingowa. Hocking szukała przyczyn zignorowania twórczości przez wydawnictwa i stwierdziła, że jest ona zbyt mroczna i intensywna. Jak mówi autorka: *W pewnym sensie określiłam siebie na no-*

*wo względem tego, co było popularne (...). Poszłam do Walmart i oglądałam najlepiej sprzedające się tytuły z oferty. Wybór padł na romans paranormalny – pierwszą książkę o zakochanych wampirach, „My Blood Approves”, Hocking napisała w piętnaście dni. To wiele mówi o rynku – ulega on tym samym modom co papierowy i wielu autorów celuje w trendy. Oprócz kiczowatych okładek z gołymi torsami i pełnią księżyca, zauważyłam mnóstwo fantastyki *young adult* oraz dzieł o zombie, najpopularniejszym obecnie monstrum. Hocking próbowała sił we wszystkich tych kategoriach.*

Mniej goniący za modami autorzy także cieszą się znakomitymi wynikami. Efektownym przykładem jest **Hugh Howey**. Ten autor-amator z Florydy upublicznił w Internecie krótką nowelkę SF „Wool” w lipcu 2011 i... nie interesował się jej losami, skupiając się na promowaniu dłuższych form. Tymczasem zadziałała magia społeczności – wieść o tekście rozprzestrzeniła się, co zaowocowało entuzjastycznymi recenzjami oraz błaganiami o ciąg dalszy. Gdy autor dowiedział się o takim obrocie sprawy, przekształcił nowelę w ponad 500-stronicową powieść. Teraz opowieść o zaradnej mechanicznej żyjącej w gigantycznym, podziemnym bunkrze, którego klasa rządząca buduje potęgę na strachu przed zatrutą powierzchnią, liczy już osiem tomów, a właśnie powstaje kolejny. Howey cieszy się ogromnymi zarobkami, uważa mediów takich

DZIECI DOKTORA GRANTA

WAWRZYNIEC PODRZUCKI

IDEA „PARKU JURAJSKIEGO” JEST
DEEKSTYNKCJA – WSKRZESZANIE
WYMARŁYCH GATUNKÓW. JEDNAK
CZY OD RAZU DINOZAUROW?



W czerwcu 1993 roku na ekrany kin trafił „Park Jurajski” Stevena Spielberga. Co po dwudziestu latach od dnia premiery można powiedzieć o tym filmie? Choćby to, że prawie w ogóle się nie zestarzał. Nawet teraz, w epoce rozpasanej i wszechobecnej grafiki komputerowej, nie traci myszką i już samo to jest godne podziwu. Mało jest celuloidowych fantazji odpornych na upływ czasu, a jeszcze mniej takich, które długowieczność zawdzięczają czemuś więcej prócz mistrzostwu w operowaniu kamerą, światłem i programem do renderingu 3D. Inteligentnej fabule, na przykład, wiecznie żywym pytaniom egzystencjalnym, albo idei, wciąż świeżej, niezmiennie atrakcyjnej i rozpalającej umysły zarówno ekspertów, jak i przeciętnych zjadaczy chleba.

W „Parku Jurajskim” ideą tą jest deekstynkcja. Dee... co? Przecież taki termin nie pada w filmie! Trudno się dziwić, skoro został ukuty całkiem niedawno, niemniej pomysł pozostaje ten sam: wskrzeszanie wymarłych zwierząt (oraz, ewentualnie, roślin). Jednak czy od razu dinozaurów? Michael Crichton – autor powieści, na podstawie której Spielberg nakręcił swój film – wybrał dinozaury głównie z tego względu, że Amerykanie mają na ich punkcie bzika i było pewne, że prędzej kupią serię bajek o safari z tyranozaurami i velociraptorami, niż opowieść o zmartwychwstałym wyplawku w akwarium.

POWRÓT DO PRZYSZŁOŚCI

Jak na razie, współczesnym i autentycznym „deekstynkcjonistom” aż tak ambitny cel, jak wskrzeszenie dinozaurów, nie przyświeca. Chcemy jedynie chronić przyrodę, mówią skromniutko. Żadnych parków tematycznych, żadnego przedpotopowego bestiariusza – co to, to nie! I absolutnie żadnych tyranozaurów, bo tego się po prostu nie da zrobić.

Biolodzy opuszczający w 1993 roku sale projekcyjne kręcili z podziwem głowami nad stroną wizualną „Parku...” i z politowaniem nad merytoryczną: DNA, które przetrwało od mezozoiku? Co za nonsens! To prawda – DNA ze zwierzaka padłego

przed 100 milionami lat nie ma szans pozostać w stanie nadającym się do jakiegokolwiek biotechnologicznej obróbki, o restytuowaniu velociraptorów nie mówiąc. Czy to w kawałku bursztynu, czy zamrożony w lodowcu albo pogrzebany w beztlenowym mięszu osadów dennych, kwas dezoksyrybonukleinowy nieuchronnie niszczy. Znamy nawet okres jego półrozpadu – circa 520 lat. Innymi słowy, jedynym prawdziwie monstrualnym efektem działań filmowego doktora Granta byłoby rozczarowanie.

Ale rozwój biologii nie zatrzymał się w latach 90. ubiegłego wieku. Osiągnięcie tego, co wówczas uznawano za niemożliwe, dziś wydaje się co najmniej prawdopodobne, o ile nie realne. Przynajmniej w odniesieniu do gatunków, które wymarły poniekąd „na naszych oczach”, bądź na tyle niedawno, by szansa na pozyskanie ich w miarę dobrej jakości materiału genetycznego była spora (np. truchła w spirytusie, muzealne eksponaty, czy zwłoki wygrzebane spod syberyjskiej tundry). A gdy już znajdziemy taki materiał, to co dalej? Do wyboru są trzy metody: inżynieria genetyczna, hodowla wsteczna oraz klonowanie. Można je zastosować osobno lub w kombinacjach – to zależy, z jakim stanem wyjściowym mamy do czynienia w przypadku konkretnego gatunku.

AKCYJNIAKI SŁOWEM SILNE

WYWIAD Z DREW PEARCE'EM

Drew Pearce (ur. 1975)

– twórca brytyjskiego serialu komediowego o superbohaterach „No Heroics”. Scenarzysta „Iron Mana 3” i nadchodzących filmów „Pacific Rim”, „Sherlock Holmes 3” oraz zaplanowanego na przyszły rok restartu „Godzilli”.



Bartosz Czartoryski: Łatwo jest dzisiaj nakręcić dobry film akcji?

DREW PEARCE: Piekennie trudno! Ten gatunek strasznie wyhamował w latach dziewięćdziesiątych. Powiedziałbym nawet, że popularne „akcyjniaki” zaczęły zjadać własny ogon i filmy odbijano z tej samej sztancy. I wydaje mi się, że wielu scenarzystów mojego pokolenia uważa, iż niektóre elementy fabularne po prostu muszą się pojawić na ekranie, bo inaczej film nie będzie rasowym akcyjniakiem i straci swoją tożsamość. Boją się eksperymentować. Lecz już na samym początku, zanim zasiadłem do scenariusza, Shane [Black, reżyser „Iron Mana 3” – przyp. red.] powiedział mi, że nie o to nam chodzi, że mamy cofnąć się do lat osiemdziesiątych i zainspirować się tym, co wówczas robili nowatorscy scenarzyści filmów akcji, łącznie z nim samym i poszukać świeżych rozwiązań. Jasne, fajnie jest po raz setny zobaczyć, jak za plecami idącego w stronę kamery bohatera eksploduje samochód, lecz teraz to nie wystarczy, trzeba to ujęcie ograć w zupełnie nowy sposób.

BC: I skąd wiedziałeś, że akurat ta czy inna scena wam się udała?

DP: Podczas pisania „Iron Mana 3” ciągle dźwięczało mi w głowie pytanie: jak zareagowałbym na daną scenę jako widz? Wyobraziłem sobie, że wszystko rozgrywa się na deskach ogromnego

teatru, z żywą publicznością. Upartłem się, że nie spocznę, dopóki zgromadzeni na widowni ludzie nie zaczną klaskać, chciałem dać im prawdziwą bombę, każde stereotypowe zagranie z filmu akcji ulepszyć, podnieść do potęgi. I tak po napisaniu każdej sceny wyczekiwałem na reakcję mojej wymagowanej publiki.

BC: Podsumowałbyś więc swój film słowem *nieprzewidywalny*?

DP: Nie ująłbym tego lepiej! To film pełen dramatycznych woltów, niespodzianek, zwrotów akcji. Bardzo mi zależało, żeby widz był nieustannie zaskakiwany. Dzisiaj filmy często są przewidywalne i choć nie ma w tym nic złego, takie są prawidła rządzące konwencją, to jednak postawiłem sobie za cel zrobić coś, na co nikt by się nie odważył. Shane porównał pisanie tego scenariusza do gotowania gulaszu – żeby miał odpowiedni smak, musi się w nim znaleźć kilka różnych składników. Nie wystarczy zrobić dobrego filmu akcji, trzeba przebić wszystkie inne.

BC: Jak długo ślęczeliście nad scenariuszem?

DP: Całe wieki. Przez cztery miesiące tylko gadaliśmy i gadaliśmy z Shanem o tym, co mamy zamiar napisać, wymienialiśmy się pomysłami, często, przepraszam za wyrażenie, pieprzyliśmy całymi dniami głupoty, ale to

konieczne, jeśli chce się zrobić coś, czego nikt wcześniej nie zrobił. Nie zrezygnowaliśmy oczywiście z tego, co zbudował Jon Favreau w poprzednich filmach, bardzo podobała nam się jego wizja komiksowego świata, zupełnie odmienna od pozostałych filmów Marvela, bardziej osadzona w znajomej nam rzeczywistości. Nie kryję, że w dwóch pierwszych częściach zafascynował mnie wątek miłosny rodem z komedii romantycznej, wyszło to znakomicie i ten motyw również chciałem rozwinąć.

BC: Zdradzisz, co oglądaliście, żeby naśladować baterie twórczą energią?

DP: Sporo Howarda Hawksa, „Dr Strangelove” Kubricka. Do tego Shane zaraził mnie miłością do skeczy grupy Monty Pythona, co jest szczególnie widoczne w trzecim akcie naszego filmu.

BC: „Iron Man 3” to nie tylko akcja i śmichy-cichy. Powiedziałbym, że nacisk położyliście na wewnętrzne rozterki Tony’ego...

DP: Zadaliśmy sobie pytanie, co dzieje się w głowie człowieka, który uratował świat. Na swój sposób „Avengers” było doskonałym zwieńczeniem trylogii o Iron Manie, bohater pomógł przecież ocalić ludzkość i właśnie: co dalej? Tony zaczyna zastanawiać się, czy naprawdę zasłużył na uwielbienie, jakim jest darzony. Pozostał przecież

STAR TREK

– NIEZNANE WĘDRÓWKI

ANDRZEJ KACZMARCZYK



Po zakończeniu w 2005 roku „Enterprise’a”, piątego aktorskiego serialu spod znaku „Star Treka”, losy kultowej marki były niepewne. Nowe życie tchnął w nią wysokobudżetowy filmowy restart w reżyserii J. J. Abramsa. Jego sequel trafił właśnie na ekrany kin. To nie jedyny projekt wskrzeszenia dzieła Gene’a Roddenberry’ego.

ŚWIAT WEDŁUG XONA

Na dobrą sprawę nie był to również jedyny moment, kiedy „Star Trek” wymagał wskrzeszenia. Choć łatwo o tym zapomnieć patrząc na jego gigantyczną popularność – na wszystkie spin-offy, książki i konwenty goszczące rzesze fanów – faktem pozostaje, że oryginalny serial zdjęty z anteny w 1969 po raptem trzech sezonach. Na premierę filmu kontynuującego przygody załogi USS „Enterprise” trzeba było czekać dziesięć lat, a na nowy serial aktorski niemal dwadzieścia. Roddenberry nie siedział

jednak przez ten czas z założonymi rękami.

W 1977 ogłoszono że powstanie serial „Star Trek: Phase II”. Powrócić mieli wszyscy aktorzy z oryginalnego serialu z wyjątkiem Leonarda Nimoya, który był skonfliktowany ze studiem Paramount. Miał go zastąpić grany przez Davida Gautreaux Wolkanin imieniem Xon, w przeciwieństwie do Spocka nie posiadający domieszki ludzkiej krwi, ale usilnie starający się zrozumieć, a nawet naśladować ludzkie emocje. Stanowisko pierwszego oficera przypadłoby komandorowi Willardowi Deckerowi, a do załogi miała dołączyć również jego dawna miłość, porucznik Illia, empatka.

W przeciwieństwie do większości niezrealizowanych projektów, „Phase II” nie przepadło całkowicie, a liczne jego elementy przetrwały w kolejnych inkarnacjach „Star Treka”. Najważniejszym przykładem jest oczywiście pierwszy kinowy „Star Trek” z 1979, który był de facto pilotem „Phase II” przerobionym na wysokobudżetowy film. Zabrakło w nim jedynie

Xona, którego wykreślono po tym, jak Nimoy dał się namówić na powrót do roli Spocka. Całe zamieszanie znalazło odzwierciedlenie w filmie, na początku którego Spock nie jest członkiem załogi i zastępuje go pewien młody Wolkanin, który prędko ginie w wyniku awarii transportera.

Niektóre elementy „Phase II” przetrwały również w „Następnym pokoleniu”. Xon był poniekąd jednym z nich – właśnie po nim Data odziedziczył pragnienie zrozumienia ludzkich uczuć. Natomiast komandor William Riker i Deanna Troi to nowe wersje Deckera i Illii. Dwa z przygotowanych z myślą o niezrealizowanym serialu scenariuszy został w końcu sfilmowane jako odcinki „Następnego pokolenia”.

Nie można również zapomnieć o wysiłkach fanów. Popularny i imponujący od strony technicznej fanowski serial „Star Trek: The New Voyages” zmienił z czasem tytuł na „Phase II”, a jego autorzy starają się potążyć kontynuację oryginalnego serialu z niektórymi

WYRÓŻNIENIE W KONKURSIE LITERACKIM "NF"!

SKOMPLIKOWANA CIEMNOŚĆ

LUCYNA GRAD

Imię przynosiło mu pecha od dnia narodzin. Znachor i czarownik, a swoją drogą również dziadek chłopca, przepowiedział jego matce, że urodzi dziewczynkę. Gdy odebrał poród, przemknął wzrokiem po wnętrzu chaty pełnej dziewczęcych zabawek i wyszeptał trwożliwie:

– Chyba będą kłopoty!

Gdyby przez sukale przemknął wtedy wiatr! Gdyby porwał te słowa hen, cisnął przekleństwo w kurz północnych pustkowi, ach! Wiódłby wtedy Mbawe zwyczajny żywot, wzrastał i męźniał w błogosławionej przychylności losu, jak inni chłopcy. Niestety, w chwili, w której przyszedł na świat, wiatr hulał akurat gdzie indziej i słowa Gakuru Zaciekłego Bawołu pochwytyły łapczywie wszystkie uszy we wsi.

Mijały lata, a kobiety zamiatające obejścia przeganiały Mbawemiotłami z sępich skrzydeł zawsze, ilekroć komuś w pobliżu przytrafiło się jakieś nieszczęście. Chyba Będą Kłopoty. Czy jest na świecie ktoś, kto chciałby się tak nazywać? Z dnia na dzień Mbawe coraz głębiej zapadał się w szyderczo skomplikowaną ciemność własnego przeznaczenia.

Dzisiaj wracał do wsi, znów smętnie szurając łapciami po pylistej ścięcie.

Bóg podarował plemieniu Karo całe bydło świata i wynikały z tego same problemy. Krowy i obce ludy nie uznawały bowiem takiego stanu rzeczy, co te pierwsze skłaniało do ucieczek, a drugie do wojowniczych protestów. Mimo to Mbawe powinien przyprowadzić z wyprawy co najmniej jedną krowę, ale jeszcze nigdy mu się to nie udało.

Cztery dni przemierzał sawannę, od samego początku marząc o powrocie, choćby i haniebnym. Na samą myśl o rozkosznym bezpieczeństwie ciernistych zasieków wokół osady nogi rwały mu się do biegu. Może i miał dzidę, łuk, tarczę z żółwiej skorupy i zapas amuletów na mogące go zwieść duchy, ale i tak bardziej skłonny był wysłuchiwać drwin niż rechotu tropiących go hien.

Kopulaste trzcinowe dachy chat przestały podrygiwać w fatamorganicznym skwarze, ale wiatr wciąż jeszcze nie przyniósł ani gwaru rozmów i gry tykwowych dzwoneczków, ani smrodu skupionego w zagrodzie bydła. Niósł tylko pajęczę nici, które chłopiec raz po raz omiatał z twarzy.

Spodziewał się zastać bliskich w cieniu akacji, siedzących w kucki i plotących sobie nawzajem warkocz, zaśluchanych w opowieści starego Gakuru, ten zaś mruczałby cicho, żeby wiatr nie zdołał pochwytać jego głosu. Zaciekły Bawół, kiedy trzeba, potrafił huknąć z taką mocą, że echo płośliło ponoć wielbłądy na pustyni, ale opowieściami nie lubił dzielić się z wiatrem.

– Jeszcze złapałby je w swoje sieci Ananse! – straszyl, robiąc wielkie oczy dla podkreślenia wagi słów.

Starzec schodził samotnie całą sawannę, bywał na pustyni u jasnoskórych i w dżungli, gdzie pomieszkiwał z Małymi Lu-

dzikami, przeżył niesamowite przygody. Wszystko dlatego, że duchy przodków pomieszały mu kroki, kiedy pewnego razu wracał do wsi. W ten sposób chcieli zrobić z niego bazarza.

Mbawe podejrzewał, że pomieszały mu nie tylko kroki, ale i rozum, na starość zaś Gakuru dodatkowo zdziadział. Prawdę mówiąc, całkiem oszalał. Bez ustanku plótł swoje opowieści, a ktoś zawsze musiał go słuchać, i to słuchać uważnie, by nie uronić choćby jednego słowa. Słowa bowiem, które umknęły uszom i poszybowały z wiatrem, naprawdę mogły dotrzeć do Ananse, ten zaś gotów był utkać z nich bestie, jakich pełna była wyobraźnia starca. Mbawe na tyle często pełnił uciążliwą wartę przy Gakuru, by dojść do wniosku, że nie chciałby wziąć udziału w jego ożywionych opowieściach.

Mijając akacyjne ogrodzenie, chłopak odetchnął z ulgą. Poczuł się bezpieczny na tyle, by pierwszy raz od wielu dni odłożyć tarczę i łuk. Przelotnie zajrzał do rodzinnej sukali, w której panował niespotykany bałagan, i ruszył w stronę akacji, by pokłonić się starszym. I wzruszyć ramionami na docinki rówieśników. Zawczasu się na nie przygotował. Podniósł z ziemi kamień, potarł nim czoło, przekazując mu budzące się zawstydzenie, i wyrzucił go przez ramię.

Pod drzewem siedział tylko Gakuru, wsparty plecami o pień, z głową opadłą na pierś. Spał, co jednak nie tłumaczyło nieobecności pozostałych członków plemienia. Starzec potrafił zasnąć w każdych warunkach, dając odpoczynek umęczonemu ciału niezależnie od hałasu wokoło, a nawet poszturchiwań.

Serce zagrało chłopcu w piersi niczym bęben obciążonej kozłą skórą. Wyprostował się i objął wzrokiem całą wioskę, cichą i bezludną jak po ataku lwa. Dopiero teraz spostrzegł, że w zagrodzie nie ma krów.

– Dziadku Gakuru? – Zbliżył się i potrząsnął ramieniem starca. – Gdzie się wszyscy... Och!

Bazarz przechylił się pod wpływem dotyku chłopca, zachwiał i osunął na bok, zrywając z pnia skrawki chropowatej kory. Przerażony Mbawe właśnie układał w myślach najpiękniejsze przeprosiny, kiedy pomarszczona twarz Zaciekłego Bawołu spojrzała z ziemi i wbiła w niego wzrok spod zmrużonych powiek.

Mbawe wiedział, że przez oczy żywego człowieka spogląda dusza, dzięki której błyszcza. Oczy Gakuru przywiodły chłopcu na myśl przyproszone kurzem kamienie w krainie od dawna tęskniącej za wodą.

Mbawe wrzasnął z przestachu i dał susa w tył. Coś twardego uderzyło go w plecy, wyrывая z płuc resztki tchu, pozbawiło oparcia dla stóp. Przekoziółkował wraz ze stolikiem, drewniane naczynia grzmotnęły o ubitą ziemię i potoczyły się hałaśliwie.

– Nie! – Mbawe w panice rzucił się za tykwową miseczką, zrozumiawszy wreszcie, co zaszło w osadzie pod jego nieobecność.

Zaciekły Bawół dokonał żywota i jego dusza – dusza starego szaleńca – krążyła po wsi, nieograniczana dłużej przez oko-

WIDMA Z CZTERNASTEJ DZIELNICY

TRYPTYK

JEWGIENIJ T. OLEJNICZAK

I Pustynie Marsa

Pani Kownacka nie pamiętała już dokładnie, kiedy odkryła, że w pokoju jej męża, tak, w tym właśnie ciasnym, niewietrzo-
nym pokoiku w bloku numer dwadzieścia trzy, znajduje się
marsjańska pustynia. Musiało to być jakoś na początku wiosny,
na pewno jeszcze przed Wielkanocą.

Prawdę powiedziawszy, tak dawno tam nie wchodziła,
że zapomniała nawet, jak ten pokój wygląda. Melchior nie
pozwalał jej u siebie sprzątać ani niczego przestawiać,
a ona nie była jakoś szczególnie ciekawa, co on tam robi
całymi dniami. Wiedziała tylko, że ma ten swój kompu-
ter i że ogląda na nim filmy, pewnie pornograficzne. No
i dobrze. Była już za stara, żeby się tym przejmować.
Niech sobie diabeł ogląda, co chce, nawet te komputero-
we świństwa, myślała, byle się nie kręcił po domu. Jego
człapanie działało jej bowiem na nerwy. Na wpół głuchy,
niechłujny, przesiąknięty papierosowym dymem, zawsze
w tym samym swetrze o barwie tektury, przypominał jej
osiedlowego bezdomnego, który codziennie prosił o drobne
pod spożywczakiem. Właściwie, chociaż nigdy nie mówiła
tego głośno, odpowiadała jej ta jego ciągła nieobecność,
mogła sobie w spokoju rozwiązywać krzyżówki i układać
pasjanse, bez jego kręcenia się, chrząkania i dzwonienia
naczyniami.

Każdego ranka o godzinie siódmej spotykali się w kuch-
ni. Mąż mamrotał swoje „Dzień dobry”, ona odburkiwała
„Dobry”, potem mierzyła mu poziom cukru i w milczeniu
jedli śniadanie, przeważnie twarożek na ciemnym pieczywie.
Z rzadka omawiali kwestię rachunków albo ustalali listę
zakupów. Zdawało się, że jedno w ogóle nie widzi drugiego,
byli niby przedstawiciele gatunków tak odrębnych, że nie
potrafią dostrzec się nawzajem. Po posiłku Melchior odnosił
talerzyk i porcelanowy kubek do zlewu, wyjmował z lodówki
zieloną butelkę piwa heineken i przepadał w swoim pokoju
aż do obiadu. Popołudniami również zamykał się u siebie.
Ona wtedy zmywała, oglądała teleturnieje i seriale, karmiła
koty albo odbywała długie telefoniczne rozmowy z siostrą,
która od dwudziestu lat pracowała w Palermo. Taki układ
wydawał się korzystny dla obu stron.

Jednakże któregoś dnia Melchior nie przyszedł na obiad,
co ją zdziwiło, bo przygotowała już pomidorową z ryżem
i ruskie pierogi. Mimo niejakiego zdziwienia zignorowała
ten fakt, bo nie raz i nie dwa razy zdarzało mu się już za-
siedzieć przy komputerze. Dopiero kiedy nie pojawił się
również na kolacji, zaczęła się trochę niepokoić. Może miał
drugi zawał? Albo wylew? Stuknęła mu już przecież siedem-
dziesiątka, a wciąż palił jak lokomotywa i prawie w ogóle
nie przebywał na świeżym powietrzu, tylko śleczał przed

ekranem. Wolałaby, mimo wszystko, żeby nie umierał. Jaki
był, taki był, ale nie mogła powiedzieć, że to zły człowiek.

Po wieczornym myciu naczyń nie wytrzymała, trochę
niepewnym krokiem dotarła do drzwi do pokoju męża i przy-
łożyła do nich ucho. Cisza. Zastukała – żadnej odpowiedzi.
Złożyła ręce na biodrach i groźnym głosem krzyknęła:
„Melchiorze!”. Dalej cisza. Lekko uchyliła drzwi i właśnie
wtedy ujrzała ciągnącą się aż po widnokrąg piaszczystą
równinę.

„Mars” – pomyślała, nie wiedzieć czemu, bo nigdy nie
interesowała się tą planetą i nie wiedziała nawet, jak może
wyglądać jej powierzchnia. A jednak – z niezachwianą pew-
nością, jaka przysługuje nam w snach – od razu wiedziała,
że jej mąż uciekł na Marsa.

Oszołomiona, czym prędzej zatrzasnęła drzwi.

Wróciwszy do kuchni, usiadła na krześle, zapaliła cien-
kiego papierosa i przez jakiś czas bezmyślnie bawiła się
solniczką.

Z początku pani Kownacka nie chciała mieć z tym Marsem
nic wspólnego. Mąż wróci, kiedy wróci. Chyba wie, co robi. Jej
nic do tego. Kolejna fanaberia. Nie dało się jednak ukryć, że
ta pustynia zbijała ją z tropu. To było trochę zbyt powikłane.
Kto to widział, żeby coś podobnego istniało w najzwyczajszym
na świecie nowohuckim bloku? Co niby miała z tym fantem
zrobić? Zgłosić problem do administracji? Powiadomić te-
lewizję? Ostatnia rzecz, jakiej pragnęła, to ogłosić całemu
światu, że jej mąż ni z tego, ni z owego uciekł na marsjańską
pustynię. Takie sprawy powinno się załatwiać w domu, a nie
za pośrednictwem kamer. Ilekroć oglądała programy, w któ-
rych ludzie prali na wizji swoje rodzinne brudy, doznawała
uczucia wyższości – ona nigdy w życiu by sobie na coś takiego
nie pozwoliła.

Jednak następnego dnia wypożyczyła z biblioteki na osie-
dlu Stalowym dwie książki o Marsie, aby mieć przynajmniej
jako takie pojęcie, gdzie jej mąż spędza czas. Jeszcze w dro-
dze powrotnej przysiadła na ławce nad Zalewem i zaczęła
je kartkować w bladym marcowym słońcu, jakby miała
nadzieję od razu odnaleźć klucz do tej irytującej zagadki.
Nic nie znalazła. Po powrocie do domu nastawiła obiad
(wciąż jeszcze dla dwóch osób), zaparzyła mocną i gorzką
herbatę, usiadła przy kuchennym stole i już na poważnie
zagłębiła się w lekturę. Im więcej jednak czytała, tym mniej
z tego rozumiała. Nie umiała sobie wyobrazić tych wszyst-
kich miejsc, w głowie miała tylko dziwne, trudne nazwy,
takie jak „Valles Marineris”, „Vastitas Borealis”, „Columbia
Hills” czy też „Planum Australe”.

ARCHIWISTA KULTUROWY

(The Culture Archivist)

JEREMIAH TOLBERT

Księżyc Humptów zniknął dwa dni temu, pochłonięty przez żarłoczne nanopluski z asymilacyjnego roju Fali Postępu, ale czy ja to zauważyłem? Oczywiście, że nie – tak zaabsorbowało mnie dokumentowanie zawiłości rytuału godowego Humptów, że byłem nieczuły na wszystko, co nie dotyczyło kopulacji. Byłem tak zajęty zapewnianiem przetrwania ich kultury przez nagrywanie, jak się pieprzą, że nie zauważyłem prawdziwego zwiastuna ich zagłady. Typowe.

Jak tylko skończyłem zapisywać nagrania w banku pamięci i nastroiłem się z powrotem na szmer Wielkiej Debaty, dowiedziałem się, co się stało. Moje pluski nagrywały posiedzenie. Była to głównie zwykła, jałowa, prawna gadanina. Kiedy jednak w końcu uchwyciłem wątek i zorientowałem się, że dyskusja dotyczy głównie tego, gdzie do cholery podział się główny satelita ich planety, niemal opróżniłem moje przewody nerkowe – jedna z bardziej odrażających właściwości humptowego ciała, do których musiałem przywyknąć przez ostatnich kilka standardowych miesięcy Z. P.

Teoria ciesząca się największym poparciem głosiła, że ciemna, niedostrzegalna masa przemknęła przez ich system z prędkością bliską prędkości światła i pociągnęła za sobą księżyc. Humptowie, kształtem i formą przypominający jajko z krótkimi, niemal bezużytecznymi nogami, byli zapalonymi astronomami i rozumieli fizykę oraz astronomię lepiej, niż można by spodziewać po rasie posiadającej poza tym tak prymitywną technologię. Znaczy to, że przebyli już etap obwiniania bogów o wszystko, co się zdarzyło i przeszli do formułowania słabych, pseudonaukowych hipotez. Prawdę – czyli to, że zniknięcie księżyca zapowiadało przybycie stworzeń z innego świata – podejrzewało niewielu i ich liczba szybko malała. Jak wiele rozumnych istot, Humptowie z trudem wyobrażali sobie wszechświat zamieszkiwany przez kogoś oprócz ich – okrągłych – samych.

Być może miałbym czas na ucieczkę, gdybym zauważył jak rój Fali Postępu rozrywa na cząsteczki księżyc Humptów i zamienia go w niewiarygodnie szeroki asortyment artykułów konsumpcyjnych, które wkrótce z dużą prędkością miały zostać wystrzelone ku powierzchni świata Humptów w kapsułach ochronnych o grubych, izolowanych termicznie ściankach. Mój statek był jednak ukryty o ponad sto kilometrów od koczowniczej grupy Humptów, którą infiltrowałem. Dojście tam na humptowych nogach zajęłoby mi standardowy tydzień Z. P.

Pomimo pewności porażki, spróbowałem. Powłócząc nogami, zacząłem oddalać się od grupy, ignorując przestraszone spojrzenia Humptów mieszkających na obrzeżach wioski. Z ich perspektywy, rezygnacja z bezpie-

czeństwa, jakie zapewniała grupa, było szaleństwem. Równie dobrze mógłbym wykopać kamień z porośniętej mchem równiny i rozbić sobie nim czaszkę.

Wezwałem moje pluski i rój zabrzęczał ochotczo dookoła mnie, dostarczając danych na temat rozmaitych obiektów wchodzących do atmosfery. Odrzuciłem te informacje z bardzo Humptowym, mokrym parsknięciem. No coś takiego, chłopaki.

Jedna z wyłaniających się z mojego roju SI prychnęła. ::TY->-> W KŁOPOTACH | GÓWNO PO PACHY | PRZECHLAPANE | ZAŁATWIONY NA CACY::

Kolejna oczywistość. Powiedziałem im, żeby trzymały głęby na kłódkę. Gdyby Z. P. dowiedziało się, że istnieją, byłoby po nas wszystkich. Pociski atomowe wystrzelone z orbity, tak na wszelki wypadek.

Pierwsza kapsuła z artykułami konsumpcyjnymi wylądowała pół kilometra ode mnie w rozbłysku niebieskich płomieni. Sądząc po sile uderzenia, był to moduł mieszkalny. Duże rzeczy zwykle przybywały pierwsze. Tostery miały nieco mniejszy współczynnik wprawiania w zdumienie niż czterokołowe SUV-y i dwupiętrowe domy starterowe. Mechanizmy dostarczania zawodziły jednak notorycznie i artykuły nie zawsze były nienaruszone po lądowaniu na planecie. Tak jak teraz.

Wyczuwałem woń wydzielin lękowych dochodzący z odległej osady Humptów. Debaty zamieniła się w chaotyczną gadaninę. Inni archiwiści kulturowi wykorzystaliby okazję do zarejestrowania zniszczenia rdzennej kultury, ale ja dość już się na to napatrzyłem w swoim czasie, zarówno w tym, jak i w poprzednim życiu.

Artykuły konsumpcyjne, które zaczęły spadać z nieba, przypominały mi Świętego Mikołaja, tę mitologiczną, magiczną istotę, która mknęła poprzez przestrzeń przynosiła prezenty dzieciom na Ziemi, wszystkim w ciągu jednej nocy. Kolega specjalizujący się w starych kulturach z okresu na długo przed naturalizacją przeprowadzoną przez Z. P. obliczył, opierając się na szacunkach liczby ludności, jak cholernie wielkie było wtedy wszystko i doszedł do wniosku, że zbiór prezentów starego Mikołaja musiał mieć objętość dziesiątków tysięcy metrów sześciennych.

Teraz było tak samo, tylko jakby jakiś prymitywny rząd wystrzelił pocisk ziemia-powietrze i roztrzaskał tego magicznego skurczybyka na kawałki. Wesołych Świąt, Humptowie. Postarajcie się zejść z drogi.

Jasne światło oślepiło mnie na chwilę, kiedy coś dużego i głośnego uderzyło w mech przede mną w nieco bardziej kontrolowany sposób niż kapsuły z artykułami konsumpcyjnymi. Ze światła wyłonił się standardowy Prom Powitalny™ Z. P. Kadłub promu zaroił się od re-

DRUGI ODDECH

(Second Wind)

MIKE CAREY

Znieboszczykami jest ten problem, że strasznie się mazgają. Okej, zapewniam, że przemiana w sztywniaka może być szokiem dla systemu. Budzisz się pewnego ranka jak psu z gardła wyjęty: ledwo ciepły, jak to się mówi, czy raczej szybko przyjmujący temperaturę otoczenia. Sprawdzasz puls – niewyczuwalny. Ale czy faktycznie go nie masz, czy jesteś fajtlapą i nie umiesz go wyczuć?

Okej, bicia serca też nie czujesz. To zły znak, bo w tym momencie jesteś już tak kurewsko przerażony, że serce powinno tłuc jak szalone, zamiast stać przy krawężniku z zaciągniętym ręcznym.

Robisz nerwowo, nierówny wdech... i tak ci już zostaje. Nie ma dokąd uciec. Twoje ciało nie przetwarza już tlenu, a z twój układ nerwowy najwyraźniej został odłączony od gniazdka. Nie czujesz ciśnienia. Mógłbyś trzymać powietrze za zębami przez minutę, godzinę, czy półtora dnia i nie poczuć najmniejszego parcia, żeby je wypuścić.

Tabliczka na drzwiach została właśnie przekreślona z „OTWARTE” na „NIECZYNNE”. Stało się. Gramatycznie rzecz biorąc, nie możesz już zacząć zdania od „jestem”. To przeszłość.

Ale chodzi mi o to, że to jeszcze nie powód, żeby odpuszczać. Zbyt wiele osób używa śmierci jako wymówki; rzygać mi się już chce od tego. Świat nadal tam jest, człowieku. Nigdzie nie ucieka. Zasady gry nie zmieniły się tylko dlatego, że kopnąłeś w kalendarz. Jak to mówią, jeśli nie wrócisz na siodło, skończysz stratowany w końskim gównie. Twój wybór.

Byłem maklerem i pewnie właśnie to mnie zabiło. Czy raczej zabiło mnie to, że byłem świetnym maklerem – z tym obsesyjnym zacięciem, które prowadziło mnie na szczyty NASDAQ, gdy większość moich szacownych kolegów po fachu jeszcze nie zdążyła wynitkować zębów czy dobrać krawata do ręcznie wykańczanych szelek.

Nie myślcie sobie – to ciężki kawałek chleba. Kiedy rozgrywasz bandę szturmowców z DAX-u przeciw obcemu boiler roomowi¹, jednocześnie kupując, sprzedając i zacieśniając ile się da terminy rozliczeń transakcji, przypomina to spływ wodnym korytem w wydrążonym pniu. Setki milionów euro przewalają się nad tobą i pod tobą, a ty doskonale wiesz, że jeśli nie wyczuć właściwego momentu i za wcześnie spróbujesz to zatrzymać, pociągnie cię w dół i nigdy nie ujrzyś światła dziennego.

Tak, żyjesz na pewnym poziomie stresu. Nie powiem „rozkwitasz”, bo to macho-gówno: kop adrenaliny jest przyjemny przez jakieś pół godziny; później zaczynasz się trząść; jakbyś miał się rozpaść i żółć podchodzi do gardła. Dzień w pokoju transakcji przypomina dzień w rzeźni – wychodzisz z niego z koszulą zbrzyżaną cudzą krwią i podrobami. O ile miałeś szczęście; jeśli spieprzyłeś sprawę, są na niej twoje szczątki.

Pierwszy atak serca przeżyłem, gdy miałem dwadzieścia sześć lat. Zazwyczaj, kiedy o tym opowiadam, mówię, że to było w moje urodziny – tak naprawdę stało się to dzień później. Balowałem całą noc, unoszony na skrzydłach kokainy i zmrożonej Stolicznej, później wykapałem się, łyknąłem parę tabletek lodu² i wróciłem do pracy. Dwaj goście, z którymi imprezowałem, zrobili mniej więcej to samo, ale wymiękli jeszcze rano – wymknęli się do pokoju z łózkami polowymi, które szefostwo trzyma dla słabeuszy, aby półgodzinnymi drzemkami ustrzec się załamania. Ja tymczasem działałem, gdyż właśnie doszło do jednej z tych sytuacji na rynku, kiedy nikt nie wie, co się dzieje, a ty korzystasz z opóźnień i wyciskasz ile się da na krótkich sprzedażach. Za dobra okazja, żeby ją przegapić.

I wtedy, jak w kiepskim filmie, zaczęło mi dudnić w uszach. Okej, chuj z tym. Nie muszę dobrze słyszeć, żeby rejestrować liczby przesuwające się na ekranie. Łapię spadające noże, dobijam trupy; dupki z Tokio mogą wdychać moje baki i myśleć, że to świeże powietrze.

Chwilę później leżę na podłodze, a na mojej klatce piersiowej siedzi dwóch niewidzialnych zawodników sumo. „Zemsta Tokio”, myślę i tracę przytomność.

Trzy dni w klinice Portland na kawiorze i tenekteplazie. I z powrotem w siodło, patataj. Bo ci, którzy raz przestaną, nigdy nie wracają – prawda objawiona. Widziałem to wystarczająco wiele razy, żeby wiedzieć, że tak działa natura.

Drugi atak złapał mnie z zaskoczenia, bo tym razem nawet nie pracowałem. Byłem z kobietą – używam tego zwrotu w sensie biblijnym. Zazwyczaj jestem całkiem niezły w seksie – potrafię powstrzymać orgazm tak długo jak chcę, albo dopóki moja partnerka nie jest gotowa, żeby dołączyć do mnie we wspólnym wejściu na szczyt. Tym razem jednak dama musiała wyczołgać się spod mojego bezwładnego ciała i wezwać pogotowie. Miałem na głowie jej majtki jak czapeczkę imprezową – wciąż tam były, kiedy się obudziłem – tym razem nie w klinice, ale w Royal Free. Pieprzeni sanitariusze. Zabrali za to moje diamentowe spinki do mankietów, ale jak do diabła miałbym im to udowodnić? Kiedy jesteś nieprzytomny, ludzie mogą sobie na tobie poużywać ile wlezie.

To był drugi błąd palkarza i lekarze powiedzieli, że powinienem się niedługo spodziewać trzeciego, jeśli nie zmienię stylu życia na coś bardziej w stylu oazy spokoju pełnej buddyjskich mnichów. Nie zamierzałem się stosować do tej recepty – jestem taki jestem i gram, póki starcza sił.

Spojrzałem zatem śmierci prosto w jej pokerową twarz. Zobaczyłem, co dla mnie miała i wcieliłem plan B.

Słuchaj, nie przechwalam się tutaj, okej? Nie muszę się popisować przed jakimś podrzędnym głupkiem jak ty, bo to są podstawy. Elementarne sprawy. Każdy, kto ma rozum, może

1 Boiler room (dosł. kotłownia) – pojęcie z rynków finansowych. Organizacja przestępcza oferująca nieistniejące towary lub usługi. (przyp. tłum.)

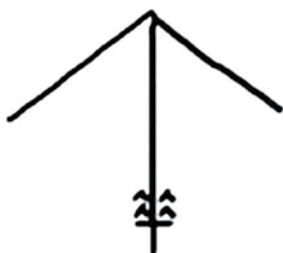
2 Lód – slangowa nazwa dektroamfetaminy, związku dwukrotnie silniejszego od amfetaminy. (przyp. tłum.)

MONO NO AWARE

(*Mono no aware*)

KEN LIU

Świat ma kształt kanji oznaczającej „parasol”, tyle, że kiepsko narysowanej – na przykład moim odręcznym charakterem pisma – przez co jej elementy są względem siebie nieproporcjonalne.



Mój ojciec byłby bardzo zawstydzony, gdyby wiedział, że nadal stawiam litery w tak dziecinny sposób. To prawda, niektóre z nich ledwie potrafię napisać. Moja formalna edukacja w Japonii dobiegła końca, kiedy miałem zaledwie osiem lat.

Ale dla obecnych celów ta kiepska litera wystarczy.

Ten baldachim u góry to żagiel słoneczny. Nawet tak zniekształcone kanji może uzmysłwić ci jego ogromny rozmiar. Sto razy cieńszy od papieru ryżowego, obracający się dysk rozciąga się w przestrzeni na tysiące kilometrów niczym olbrzymi latawiec mający za zadanie schwytać każdy przelatujący foton. Dosłownie przysłania niebo.

Poniżej zwisa długi na kilkaset kilometrów przewód z węglowych nanorurek: elastyczny, lekki i wytrzymały. Na końcu przewodu znajduje się serce „Nadziei”, moduł mieszkalny w postaci wysokiego na pięćset metrów cylindra, w którym żyje 1021 mieszkańców świata.

Światło słoneczne napiera na żagiel, spychając nas na coraz większą i coraz szybszą orbitę. Przyspieszenie przyciska nas do pokładów, nadając wszystkiemu ciężar.

Nasza trajektoria biegnie w kierunku gwiazdy o nazwie 61 Dżiwic. Nie widać jej teraz, ponieważ znajduje się za czaszą żagla słonecznego. „Nadzieja” dotrze tam mniej więcej za jakieś trzysta lat. Przy odrobinie szczęścia moje pra-pra-pra – kiedyś policzyłem, ile będzie tych „pra”, ale zapomniałem – wnuki to zobaczą.

W module mieszkalnym nie ma okien, za którymi widać byłoby przesuwające się obok nas gwiazdy. Większość ludzi ma to gdzieś. Oglądanie gwiazd znudziło im się dawno temu. Ale ja lubię patrzeć przez kamery zamontowane na dole statku na daleki, czerwonawy blask naszego słońca, naszej przeszłości.

– Hiroto – powiedział Tata i potrząsnął mną, żeby mnie obudzić – Spakuj swoje rzeczy. Już czas.

Moja mała walizka była już przygotowana. Musiałem tylko włożyć do środka swój zestaw go. Dostałem tę grę od Taty, kiedy miałem pięć lat. Uwielbiałem z nim grać.

Kiedy wychodziliśmy na zewnątrz, słońca nie było jeszcze na niebie. Wszyscy sąsiedzi stali przed domami ze swoimi torbami; przywitaliśmy się z nimi w świetle letnich gwiazd. Jak zwykle, odnalazłem wzrokiem Młot. Nie było to trudne. Od kiedy pamiętam, asteroida była najjaśniejszym punktem na niebie, oprócz księżyca, i każdego roku stawała się coraz większa.

Środkiem ulicy jechała powoli ciężarówka z megafonami na dachu.

– Uwaga, mieszkańcy Kurume! Proszę ustawić się w kolejce przed przystankiem autobusowym. Autobusy zawiozą was na dworzec, gdzie przesiadacie się w pociąg do Kagoshimy. Nie jedźcie tam sami. Drogi należy pozostawić wolne dla autobusów ewakuacyjnych i pojazdów służbowych.

Wszystkie rodziny wolno ruszyły chodnikiem.

– Pani Maeda – powiedział Tata do naszej sąsiadki. – Proszę pozwolić mi ponieść pani bagaż.

– Bardzo dziękuję – odparła starsza kobieta.

Po dziesięciu minutach pani Maeda zatrzymała się i oparła o latarnię.

– Jeszcze tylko kawałek, Babciu – powiedziałem.

Pokiwała głową, ale była zbyt zdyszana, by coś odpowiedzieć. Spróbowałem ją pocieszyć.

– Na pewno cieszy się pani, że zobaczy wnuka w Kagoshimie. Ja też tęsknię za Michim. Będzie pani mogła usiąść z nim i odpocząć w statku. Podobno każdy dostanie miejsce siedzące.

Mama uśmiechnęła się do mnie z aprobatą.

– Mamy szczęście, że tu jesteśmy – stwierdził Tata i wskazał na równe kolumny ludzi kierujących się w stronę przystanku autobusowego, na młodych mężczyzn w czystych koszulach i odświeżonych butach, na kobiety w średnim wieku prowadzące wiekowych rodziców, na czyste, puste i ciche ulice – były tam całe tłumy, ale nikt nie mówił głośniejszym niż szeptem. Powietrze wydawało się drżeć od intensywnych relacji pomiędzy ludźmi – członkami rodziny, sąsiadami, przyjaciółmi, znajomymi – niewidzialnych i mocnych niczym jedwabna nić.

Widziałem w telewizji, co działo się w innych miejscach na świecie: złodzieje wrzeszczący i tańczący na ulicach, żołnierze i policjanci strzelający w powietrze, a czasem nawet w tłum, płonące budynki, chwiejne stosy martwych ciał, generałowie krzyczący do rozszalałych tłumów, przysięgających zemstę za dawne krzywdy, nawet jeśli świat miał się niebawem skończyć.

– Hiroto, chcę, żebyś to zapamiętał – powiedział poruszony Tata, rozglądając się dookoła. – To właśnie w obliczu katastrofy ludzie powinni okazywać siłę. Rozumieć, że definiuje nas nie nasz indywidualizm, ale sieć relacji, w jakie jesteśmy zaangażowani. Abyśmy mogli żyć w harmonii, każdy z nas musi



MICHAEL J. SULLIVAN

Redagowanie, cz. 1 i 2

Niedawno zostałem zapytany, czy pisarz powinien nanosić poprawki w trakcie pisania, czy po prostu napisać powieść i dopiero wtedy zabrać się za edycję. Zazwyczaj mówi się, żeby nie patrzeć wstecz i przeć do końca, ale nie całkiem się z tym zgadzam. Jednocześnie nie uważam, że powinno się poprawiać na bieżąco. Zaraz zrozumiecie, dlaczego postanowiłem poświęcić temu cały odcinek.

Czy powinniście poprawiać w trakcie pisania, czy nie?

Pułapką, w którą można wpaść przy nanoszeniu poprawek jest to, że można skończyć jak samochód tkwiący w błocie i kręcący kołami. Poprawianie jest jak ruchome piaski. Nic nigdy nie będzie doskonałe i możecie edytować w nieskończoność. Pisarze potrafią spędzić rok, pracując nad pierwszym rozdziałem. Uświadomienie sobie, że przed nimi kolejne dwadzieścia rozdziałów może przypieczętować los ich kariery. Można też spędzić trzy razy więcej czasu niż potrzeba i dojechać do połowy książki, a następnie uświadomić sobie, że ta fabuła nie przejdzie. Gdyby nie poprawki, oszczędzilibyście miesiące. Dochodzi też frustracja, gdy szlifujecie swoją prozę na wysoki połysk tylko po to, żeby odkryć, że któryś rozdział trzeba wyciąć i czas poświęcony na jego dopieszczenie został zmarnowany.

Dlaczego zatem nie jestem przeciwnikiem poprawiania po zakończeniu pisania?

Z dwóch powodów. Pierwszy jest taki, że nieodmiennie przy pisaniu każdej powieści dotrzecie do punktu, gdy zderzycie się problemami. To prowadzi do braku zaufania do swojej pracy i zdolności pisarskich. Umysł będzie Wam wycinać numery, wpędzać Was w depresję i sprawiać, że będziecie uważać wszystko, co napisaliście do tej pory za śmiecie. Łatwo wtedy uznać porażkę i po prostu się poddać.

Dobrym sposobem na takie momenty zastoju w trakcie jest cofnięcie się i przeczytanie pierwszego rozdziału. Jeśli jest udany, będziecie pod wrażeniem i odzyskacie pewność siebie. Będziecie pamiętać, co znakomitego było w tym pomysle i dlaczego w ogóle chcieliście go opisać. Jednak musi on być dobry.

W efekcie zawsze szlifuję pierwszy rozdział jako siatkę bezpieczeństwa. Nawet jeśli później go wytnę, spełnił swoją rolę: umocnił mnie w przekonaniu, że w tym, nad czym pracuję, jest coś, z czego mogę być dumny, co inspiruje mnie do dalszego pisania.

Dalej nie dokonuję większych poprawek... aż do połowy książki. Kiedy przekroczę ten punkt, cofam się i robię jeden lekki przegląd, podczas którego dokonuję poprawek. Czemu to robię?

Kiedy piszę, opowieść nie pozostaje w mojej pamięci tak mocno jak wtedy, gdy coś czytam. Często zapominam, co napisałem, dopóki tego ponownie nie przeczytam. Mam też skłonność do zapomniania o drobniaczkach, które umieściłem z myślą o tym, żeby je później rozwinąć. Co więcej, podczas ponownego czytania wpadam na kolejne pomysły. Widzę wzory, które umykały mi wcześniej, gdy pisałem. Widzę rzeczy, z których na pewno będę chciał skorzystać.

Edycja w połowie drogi pozwala mi na nowo ustalić, na czym stoję, ocenić ton, nastrój i tempo tak, że podczas dalszego pisania łatwiej mi się tego trzymać i ukończyć powieść z możliwie najlepszym wynikiem. To trochę jak czytanie powieści

i przewidywanie, co się dalej wydarzy i czym się ona zakończy. Czytelnik to robi, więc ją też chcę i albo kieruję powieść w inną stronę, albo staram się bardzo mocno trafić w sedno, aby zapewnić możliwie najlepsze wrażenia z lektury. Czasem, gdy ponownie czytacie widać, że zakończenie, które narzuca się jako najlepsze, wcale nie jest tym wcześniej zaplanowanym – dzięki temu, że jesteście zaledwie w połowie drogi, macie czas na dokonanie zmian.

Jest jeszcze jedna rzecz, w której odbiegam od mądrości unikania poprawek przed końcem: gdy ponownie siadam do pisania, często czytam i poprawiam ostatnią stronę napisaną poprzedniego dnia. Robię to, żeby wprowadzić się znów w odpowiedni nastrój, wprowadzić się z powrotem we właściwy stan umysłu i podjąć myśli tam, gdzie przerwałem.

Pomijając powyższe zastrzeżenia, doradzałbym powstrzymanie się od poprawek przed ukończeniem książki.

Redagowanie może przemienić dobry rękopis w dzieło sztuki. Może też doprowadzić świetny rękopis do stanu, w którym będzie się on nadawał tylko na wyściółkę klatki dla naiwnego myszkosczka. Wyczucie różnicy wynika z pewności zrodzonej z doświadczenia w pisaniu i odkrywaniu, co działa, a co nie. W ostatecznym rozrachunku odpowiedzialność spada na autora, ale skąd początkujący pisarz ma wiedzieć, czy zachować to, co napisał, czy iść za radami samozwańczych guru literatury?

W najszerszym rozumieniu, redagowanie występuje w dwóch formach: strukturalnej, która skupia się na fabule i językowej, która polega na poprawianiu błędów gramatycznych i stylu, aby niezręczne zdania nabrały płynności. Na potrzeby mojej powieści „Hollow World” zamieściłem małe ogłoszenie na tablicy American Copy Editors Society. Podkreśliłem potrzebę redakcji językowej, gdyż poprawki strukturalne robi dla mnie Betsy Mitchell.

Większość autorów powieści Wam, że dobry redaktor językowy to dar od bogów. Ci ludzie pozwalają Wam uniknąć wstydu i sprawiają, że wypadacie lepiej niż jest w rzeczywistości. Ogólna zasada jest taka, żeby zawsze słuchać swoich redaktorów, a ja zgodziłbym się z tym, jeśli macie pewność, że trafił się Wam dobry.

Redaktorzy, z którymi pracowałem w wydawnictwie Orbit, są fenomenalni. Ich skrupulatność – nie tylko w wynajdywaniu drobnych, głupich literówek, ale także w widzeniu większego obrazu i wylapywaniu niekonsekwencji czy ewidentnych błędów w opowieści – jest zdumiewająca. Ci ludzie sprawdzają pisownię każdego zmyślnego słowa. Sprawdzają chronologię wydarzeń, sprawdzają porę dnia, pilnują, żeby styl wypowiedzi danej postaci był konsekwentnie stosowany. Nie musicie im mówić, że Bob zawsze mówi *Taaa...* zamiast *Tak*, a Karen unika wszelkich zdrobnień – sami to wylapią i będą uważać na wszelkie odstępstwa od schematów. Poznają Wasz styl i uczynią go lepszym. A gdy będą mieli problem, zaznaczą go i grzecznie zapytają: *W poprzedniej scenie David miał czerwony krawat, a teraz ma burgundowy – czy tak powinno być?*

Większość redaktorów wyluska błędy i zmieni:

Żołnierz schował broń i wyciągnął dłoń, aby pomóc wstać kurierowi, ze spuszczonym wzrokiem.
na...

Ze spuszczonym wzrokiem, żołnierz schował broń i wyciągnął dłoń, aby pomóc wstać kurierowi.

... żeby było wyraźnie widać, kto spuścił wzrok. Aby uporać się z nieznośnymi imiastowami, zmieniliby:

Odcinając zasłonę, poranne słońce świeciło przez szczeliny w liściastej ścianie drzew rosnących wzdłuż drogi.

na...

Gdy Arista odciągnęła zasłonę, poranne słońce świeciło przez szczeliny w liściastej ścianie drzew rosnących wzdłuż drogi.

Albo:

Lord Valin był starszym rycerzem z obfitym siwym zarostem, znanym ze swej dzielności i odwagi, ale nie ze zdolności strategicznych.



NIE TAK DAWNO TEMU

MARCIN ZWIERZCHOWSKI

„BAŚNIE” BILLA WILLINGHAMA TO WYŚMIENITA, OBSYPANA NAGRODAMI SERIA KOMIKSOWA, KTÓRA W JEDENASTYM TOMIE – „WOJNIE O POKÓJ” – DOTARŁA DO WIELKIEGO FINAŁU, CHOĆ TO JESZCZE NIE KONIEC OPowieści.

Ostatnie lata to może jeszcze nie wysyp, ale na pewno znaczący wzrost popularności motywów baśniowych wśród kinowych i telewizyjnych producentów. Na małym ekranie możemy oglądać kolejne sezony „Grimm”, „Beastly” i „Once Upon a Time”, w najbliższym czasie ruszy zaś spin-off tego ostatniego – „Wonderland”. Nikt jednak nie ma takiego rozmachu jak Hollywood, gdzie w tej chwili kręci się mniej więcej zylard baśniowych filmów.

W 2005 roku oglądaliśmy „Nieustraszonych braci Grimm”, później były „Dziewczyna w czerwonej pelerynie”, „Królowa Śnieżka”, „Królowa Śnieżka i Łowca”, ostatnio „Hansel i Gretel: Łowcy czarownic” oraz „Jack pogromca olbrzymów”. W mniej lub bardziej zaawansowanej fazie produkcji jest natomiast co najmniej drugie tyle obrazów.

Na 2014 zapowiedziano „Maleficent” z Angeliną Jolie w roli wiedźmy prześladowanej Śpiącą Królową, od dłuższego czasu czekamy na „Piękną i Bestię” w reżyserii Guillermo del Toro, z Emmą Watson w roli głównej, a jeżeli ten projekt nie wypali, odtwórczyni roli Hermiony zostanie jeszcze „Kopciuszek” Kennetha Branagha. Mało? Nowych przygód doczekają się również Królowa Śniegu (film „Frozen”) oraz Piotruś

Pan – w „Panie” zagrać mają między innymi Aaron Eckhart i Sean Bean. Po niemałych perypetiach na duży ekran powrócić powinien również Pinokio – tu początkowo reżyserem miał być Tim Burton, w tej chwili kandydatem jest Ben Stiller, a Dżepetto ma przemówić głosem Roberta Downeya Jr.

Skąd ten nagły wybuch popularności baśni w Fabryce Słów? Cóż, przede wszystkim należy pamiętać, że hollywoodzcy producenci mają silnie rozwinięty instynkt stadny – jeżeli zauważą, że jeden z ich kolegów ruszył z pracami nad jakimś filmem, natychmiast chcą robić coś podobnego. Jednak w przypadku trendu baśniowego jedna z popularniejszych teorii łączy go z sukcesem komiksowej serii „Baśnie” ze stajni Vertigo (imprint DC Comics).

BAŚNIOGRÓD W STANIE NOWY JORK

Od 2002 roku, kiedy to do sprzedaży trafił pierwszy zeszyt serii, tak zwani Baśniowcy nie żyją już za siedmioma górami i za siedzioma rzekami. Przenieśli się, a raczej – zostali wypędzeni do świata docześnieiaków, czyli zwykłych ludzi, gdzie założyli enklawę w samym centrum Nowego Jorku. Tam też, niedostrzegani przez nas, żyją Śpiąca Królowa, Księżę Uroczy, Piękna i Bestia, Wielki Zły Wilk, Kopciuszek i cała reszta dziwacznej ferajny. Żyją i marzą o powrocie w rodzinne strony, które we władanie wziął bezlitosny Adwersarz.

Scenarzysta, **Bill Willingham**, wyszedł od najbardziej oczywistego z pytań: a co, jeżeli nie żyli długo i szczęśliwie? Pomysł z kategorii wyjątkowo prostych, w końcu reinterpretowanie klasycznych opowieści, tudzież posiłkowanie się znanymi postaciami i dopisywanie im kolejnych przygód to żadna rewolucja.

FANTASTYKA W NAJLEPSZYM WYDANIU

Fiona
McINTOSH

Krew tyrana

KSIEGA DRUGA TRYLOGII VALISARÓW



Galeria
Książki



Prószyński i S-ka

WYDAWNICTWO PRÓSZYŃSKI I S-KA JOYLAND

KTÓRA POWIEŚĆ STEPHENA KINGA
ZOSTAŁA ZEKRANIZOWANA JAKO
PIERWSZA?

Devin Jones, student college'u, zatrudnia się na okres wakacji w lunaparku, by zapomnieć o dziewczynie, która zламala mu serce. Tam jednak zmuszony jest zmierzyć się z czymś dużo straszniejszym: brutalnym morderstwem sprzed lat, losem umierającego dziecka i mrocznymi prawdami o życiu – i tym, co po nim następuje. Wszystko to sprawi, że jego świat już nigdy nie będzie taki sam... Życie nie zawsze jest ustawioną grą. Czasem nagrody są prawdziwe. Bywają też cenne.

Wśród czytelników, którzy do końca czerwca nadeślą poprawną odpowiedź na nasz adres pocztowy lub internetowy (konkurs@fantastyka.pl), wylosujemy 10 laureatów, z których każdy otrzyma książkę ufundowaną przez Wydawnictwo Prószyński i S-ka.



WYDAWNICTWO REBIS SPRYCIARZ Z LONDYNU

JAKIE INNE POWIEŚCI TERRY'EGO
PRATCHETTA ZOSTAŁY WYDANE
PRZEZ WYDAWNICTWO REBIS?

Dodger żyje z tego, co znajdzie w kanałach dziewiętnastowiecznego Londynu. To gość: kocha całą swoją dzielnicę, większość swoich ziomeków i bardzo niewielu policjantów. A w zasadzie – żadnego policjanta. Prawdziwy z niego Pan „nic nie wiem, nic nie słyszałem, w ogóle mnie tu nie było”. Chłopaka zna każdy, kto jest nikim, a nie zna nikt, kto jest kimś. W zasadzie tak powinno być i jest... do chwili, gdy pewnej deszczowej nocy ratuje z rąk oprawców samotną dziewczynę.

Wśród czytelników, którzy do końca czerwca nadeślą poprawną odpowiedź na nasz adres pocztowy lub internetowy (konkurs@fantastyka.pl), wylosujemy 10 laureatów, z których każdy otrzyma książkę ufundowaną przez Wydawnictwo Rebis.



ROZWIĄZANIA KONKURSÓW Z NUMERU 04/2013 „NF”

Wydawnictwo Filia AngelFall

Seria o Penrynn jest planowana na pięć części, ale sama autorka nie jest tego pewna.

Urszula Matusiak - Michałów - Reginów
Piotr Siliński - Legionowo
Marlena Sikora - Bielsko-Biała
Anna Świder - Kobyłka
Krzysztof Karnowski - Tuchola
Maciej Święchowski - Jordanów
Piotr Hankus - Jordanów
Karolina Nastarowicz - Katowice
Paweł Ocieska - Pionki
Agnieszka Silińska - Pruszków

Wydawnictwo Inicjum Crysis. Eskalacja

Felietonistą „Nowej Fantastyki”, który napisał powieść w serii Crysis jest Peter Watts.

Piotr Rafałowicz - Białystok
Justyna Gula - Zabrze
Natalia Wilkosz - Jaworzno
Karol Ochlik - Zakopane
Anna Głowiak - Kraków
Artur Garstkievicz - Lwówek
Marcin Kowalik - Gorzów Wlkp.
Tomasz Bazylczuk - Komorowo
Michał Gruszecki - Kęty
Marcin Kotulski - Starachowice

Wydawnictwo Galeria Książki Królewski wygnaniec

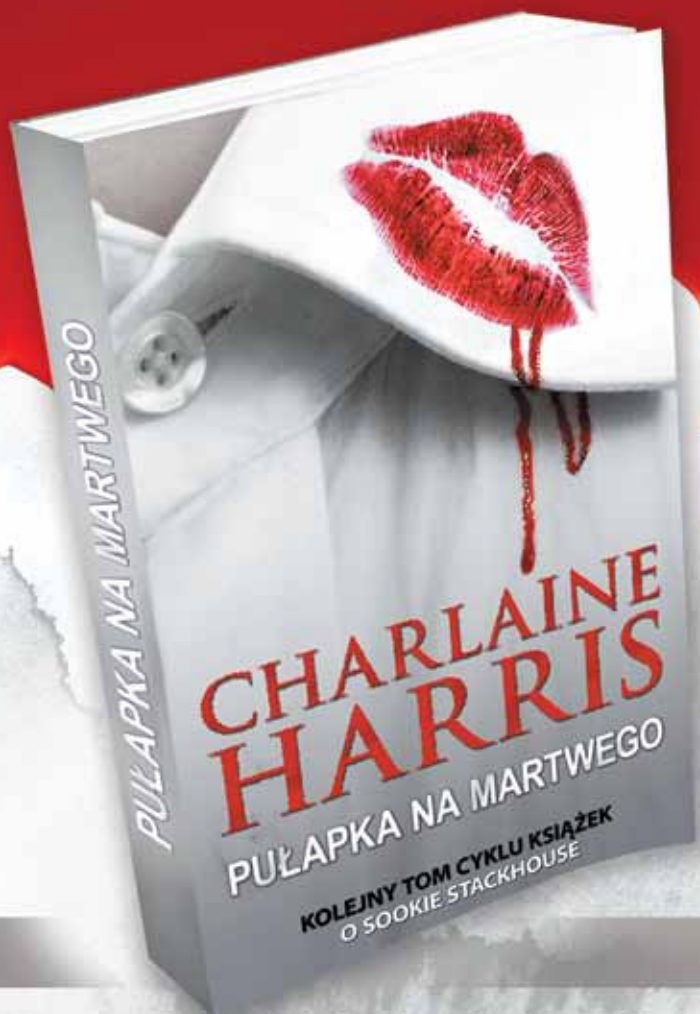
Inny cykl autorki powieści „Królewski wygnaniec” wydany w Polsce to „Trójca”.

Przemysław Palec - Chelm
Dorota Białkowska-Ziemia - Piotrków Trybunalski
Elwira Rudnicka - Łódź
Zuzanna Kaczmarczyk - Kielce
Włodzimierz Królikowski - Lublin
Joanna Budrecka - Gryfów Śląski
Marek Bartkowski - Gniezno
Piotr Woźnicki - Słupsk
Ewa Paszkiewicz - Łódź
Monika Hajduk - Milanówek

Wydawnictwo Nasza Księgarnia Xanth 4. Prześmyk centaury

Ostatni tom serii Xanth wydany w Polsce nosi tytuł „Tamtem zły wiatr”.

Maria Raabe - Chelm
Robert Zawlik - Łódź
Łukasz Krauze - Katowice
Sebastian Skrzypiec - Nowy Sącz
Grażyna Czapiewska - Sopot
Jarosław Burek - Kunice
Bogdan Komarnicki - Sulechów
Patrycja Ruczkowska - Wołów
Kamil Ostapczuk - Gdynia
Łukasz Kubiak - Łęczysca



Wydawnictwo MAG 20-LECIE

PUŁAPKA NA MARTWEGO

Jeszcze więcej wampirów

Jeszcze więcej magii

Jeszcze więcej seksu

W najgorętszej serii
o Sookie Stackhouse.

To trzeba przeczytać! www.mag.com.pl

Prószyński Media Sp. z o.o. ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa

PRENUMERATĘ WYKUPISZ,

WPLACAJĄC ODPOWIEDNIĄ KWOTĘ NA KONTO:

76 1140 1977 0000 2542 6100 1006

LUB PRZEZ STRONĘ INTERNETOWĄ

www.ksiegarnia.proszynski.pl



ZASADY
PRENUMERATY:

- prenumeratę należy zamawiać z co najmniej miesięcznym wyprzedzeniem od pierwszego zamawianego numeru na okres 12 miesięcy;
- reklamacje należy zgłaszać w ciągu dwóch miesięcy;
- koszty manipulacyjne związane z dokonaniem wpłaty w banku lub na pocztę ponosi zamawiający.

MASZ PYTANIA?

➤ **zadzwoń:** (22) 27 81 727

➤ **napisz:** Prószyński Media Sp. z o.o., ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa lub prenumerata@proszynskimedia.pl

PRENUMERATA	„NF”	„FWS”	„NF” + „FWS”
ROCZNA	84,00	32,00	108,00

CENA ROCZNEJ PRENUMERATY „NOWEJ FANASTYKI” – **TYLKO 84 ZŁ.**
PŁACISZ ZA 8 NUMERÓW, DOSTAJESZ 12!

Upewniamy, że dokonując wpłaty, wyrażacie Państwo zgodę na umieszczenie swoich danych osobowych w bazie danych Prószyński Media Sp. z o.o. – wydawcy „Nowej Fantastyki”, z siedzibą w Warszawie, ul. Rzymowskiego 28, oraz na korzystanie z nich i przetwarzanie w celach marketingowych i promocyjnych. Prószyński Media Sp. z o.o. może udostępnić te dane innym podmiotom w celach dotyczących promocji produktów tych podmiotów. Podanie przez Państwa danych jest dobrowolne i przysługuje Państwu prawo dostępu do treści swoich danych oraz ich poprawiania. Prószyński Media Sp. z o.o. zapewnia ochronę danych zgodnie z Ustawą z dnia 29.08.1997 r. o ochronie danych osobowych (tekst jednolity Dz. U. Nr 101 z 2002 r., poz. 926 z późn. zm.).

W DARMOWYM PDF-IE Z FRAGMENTAMI „NF”
NA WWW.FANTASTYKA.PL



MACIEJ
PAROWSKI
O ADWOKATACH
DIABŁÓW



PAWEŁ DEPTUCH
O SPOTKANIU
DOKTORA WHO
I STAR TREKA



RECENZJE KOMIKSÓW
„ZA IMPERIUM”



KSIĄŻKOWE
„INNE RECENZJE”
MARCINA ORLIKA

TEGO NIE ZNAJDZIECIE NIGDZIE INDZIEJ!

Fantastyka

ADRES REDAKCJI:

ul. Rzymowskiego 28
02-697 Warszawa

Telefon 695 858 802
Faks 22 27 81 775

E-MAIL:

nowafantastyka@fantastyka.pl

WWW.FANTASTYKA.PL

Wydaje Prószyński Media Sp. z o.o.
ul. Rzymowskiego 28,
02-697 Warszawa

Prezes zarządu:
Maciej Makowski

Dział Promocji i Reklamy:
Artur Kaczorek, tel. 22 27 81 717
arturkaczorek@proszynskimedia.pl

Druk i oprawa:
ORTIS Sp. z o.o.,
86-050 Solec Kujawski, ul. Brukselska 8

Kolportaż:

Firma 2M Magdalena i Marek Szwed
ul. Poznańska 484, 05-850 Koprk
tel (22) 245-45-52

REDAKCJA:

Jakub Winiarski
redaktor naczelny
jakubwiniarski@fantastyka.pl

Maciej Parowski
ojciec redaktor
maciejparowski@fantastyka.pl

Michał Cetnarowski

Dział Literatury Polskiej
michalacetnarowski@fantastyka.pl

Marcin Zwierzchowski
Dział Literatury Obcej
marcinzwierzchowski@fantastyka.pl
Jerzy Rzymowski
Dział Publicystyki
jerzyrzymowski@fantastyka.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych,
w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo
do dokonywania zmian i skrótów. Za treść reklam
nie odpowiada.

Irina Pozniak

Dział Graficzny, tel. 22 27 81 734
irinapozniak@proszynskimedia.pl

STALI WSPÓŁPRACOWNICY:

Wojciech Chmielewski, Paweł Deptuch,
Arkadiusz Grzegorzak, Agnieszka Haska,
Andrzej Kaczmarek, Rafał Kosik, Joanna
Kulakowska, Kamil Lesiew, Waldemar
Miaśkiewicz, Rafał Siłwiak, Łukasz Orbitowski,
Bartłomiej Paszyk, Przemysław Pieniążek,
Piotr Piękosz, Jerzy Stachowicz, Michael J.
Sullivan, Peter Watts.

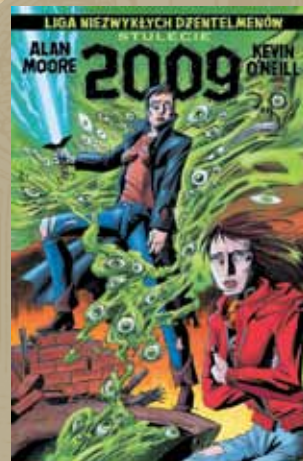
Redakcja "Wiedzy i Życia" informuje, że motyle są niezwykle
perwersyjne. Cieszyć się w imieniu motyli.

LIGA NIEZWYKŁYCH DŻENTELMENÓW

Niektórzy bohaterowie po prostu przerastają swoją epokę.



Arcydzieło komiksowe
Alana Moore'a i Kevina O'Neila
Już w sprzedaży!



POLECAMY
TAKŻE GYKŁ
STULECIE

Komiks polecają:



HIRO

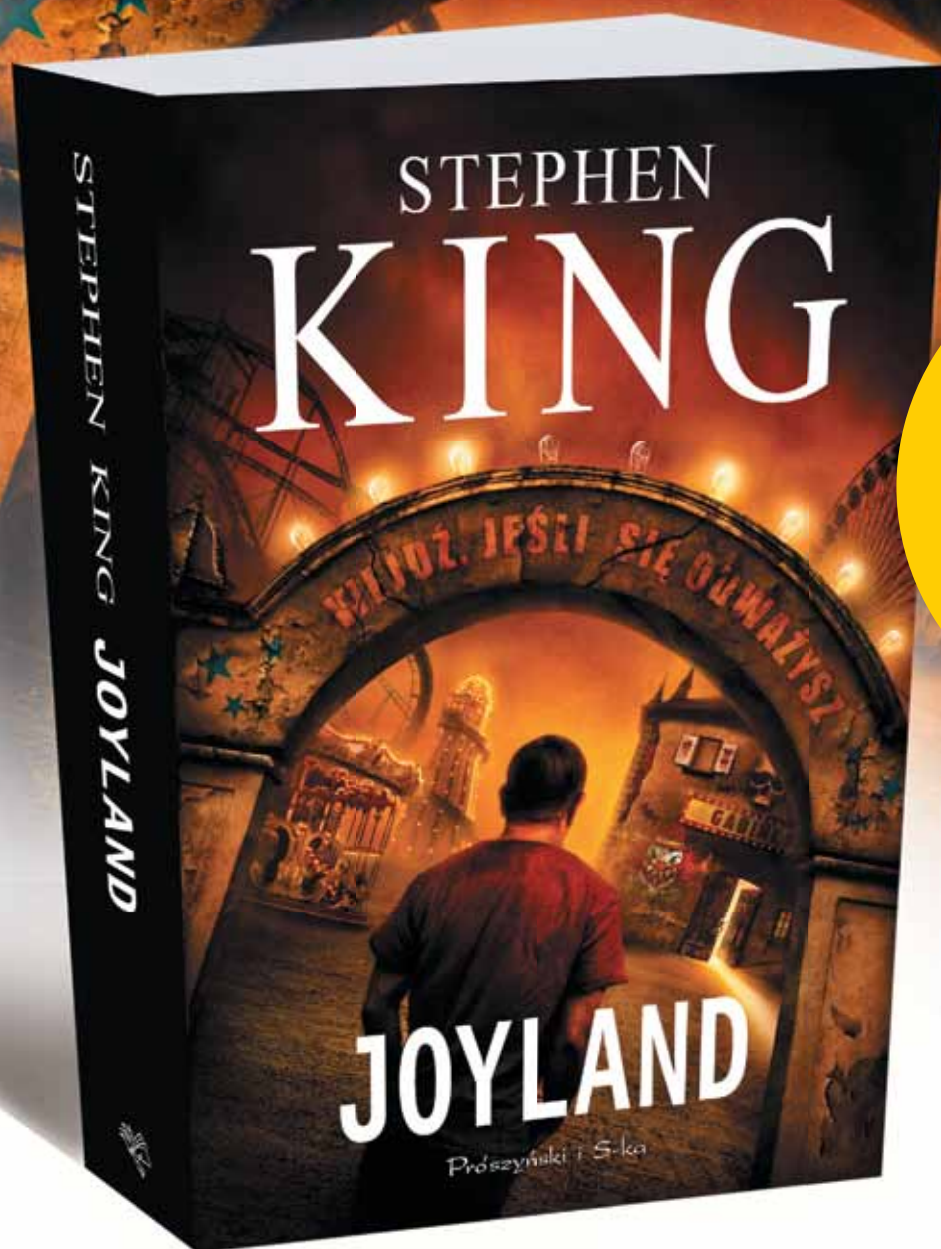
KOMIKSOMANIA

WP.PL

www.swiatkomiksu.pl

STEPHEN KING

Z A P R A S Z A



**WIELKIE
OTWARCIE
6 CZERWCA!**

NAJSTRASZNIJEST W WESOŁYM
MIASTECZKU... W JOYLANDZIE
ZMIERZYSZ SIĘ Z BRUTALNYM
MORDERSTWEM SPRZED LAT,
ŁOSEM UMIERAJĄCEGO DZIECKA
I MROCZNYMI PRAWDAMI
O ŻYCIU, A TWÓJ ŚWIAT JUŻ
NIGDY NIE BĘDZIE TAKI SAM...

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!
www.proszynski.pl

PATRONAT
MEDIALNY



HELIOS

dla studenta.pl

DEMOTYWATORY.PL

WP.PL

ksiazki.wp.pl

lubimyczytać.pl
Twoja internetowa biblioteczka

Fantastyka

StephenKing.pl

cityboard
media



MIĘDZY RYCERZEM, DEMONEM I PAPUGĄ

MACIEJ PAROWSKI

Książka „Prawo w filmie” pod redakcją Piotra Grabarczyka i Tomasza Stempowskiego (Wydawnictwo C.H. Beck) ukazała się w 2009 roku. Piętnastka adwokatów, sędziów, prokuratorów, profesorów, publicystów, omawia w niej w 21 artykułach aspekty prawne kilkudziesięciu dzieł kinematografii światowej, głównie amerykańskiej. Ale mamy też w pracy osobny szkic o „Bezmiarze sprawiedliwości” Wiesława Saniewskiego, ciekawym z prawniczego i artystycznego punktu widzenia. Są wzmianki o „Samych swoich” czy „Długu” (trafnie kojarzonym przez T. Stempowskiego z głośnym „Deliverance” (1972) Johna Boormana) oraz uwagi o świadomości prawnej w polskich serialach.

Fantasta zwróci przede wszystkim uwagę na prezentację dwu fantastycznych hitów – „Adwokata diabła” (1997) Taylora Hackforda i „Raportu mniejszości” (2002) Stevena Spielberga wg Dicka. Szkoda, że miłośnik pierwszego z tych filmów srodze się zawiedzie. Zamiast spokojnego omówienia (co proponuje większość autorów) i ewentualnego przedstawienia niekonsekwencji, których akurat w temacie diabelstwa trudno uniknąć, dostanie nieprzytomny atak. Jerzy Naumann, adwokat i publicysta, działacz samorządu adwo-



kackiego, w miarę lojalnie, co prawda streszcza niesamowitą przygodę mecenasa prowincjusza w wielkim mieście, kuszonego przez zło osobowe, demoniczne i instytucjonalne, ale systematycznie dezawuuje realizację gotostownymi epitetami i wykrzyknikami.

OTO PRÓBK JEGO STYLU:

Scenarzyści wręcz jakby chcieli zawstydzić widza, kiedy przytaczają fragmenty Apokalipsy, jakby przepytując, czy rzeczywiście znamy właściwe sentencje (...)

Mnogość beznadziejnych i beznadziejnie naiwnie skonstruowanych scen, które mają upewnić widza, że adv. Milton to wcielony diabeł, jest tak wielka, że nie tylko czytelnika tej recenzji mogłaby dozgonnie znużyć, ale też w pierwszej kolejności, nie oszczędza widza kinowego (...)

Od tej chwili przestaje by już wiadomo, czy chodzi o kwestie adwokackie, małżeńskie, czysto ludzkie czy też religijno-teologiczne. Scenariusz gubi się zupełnie w tym kwadracie i już do końca nie



„Adwokat diabła”

„Zagubiona autostrada”

znajduje wyjścia z labiryntu, który sam sobie zbudował (...)

Okropny chwyt w postaci zwidów, jakie gnębią Mary Ann, której prawdziwe postaci „morfują się” w iście diabelskie fizjonomie, jest na tyle kiczowaty, że skutecznie dobija widza w ocenie filmu (...)

Lomax wprowadzany do nowojorskiego raj, usłyszy od swego guru trapiące przedstawienie „departamentów”: media, prawo morskie, kwestie muzułmańskie, fuzje i zakupy, nieruchomości, prawa autorskie, handel międzynarodowy i cło (który to groch z kapustą kompletnie przecież nie trzyma się jakiegokolwiek sensu – z wyłączeniem odmłodzonego widza, na którym film żeruje)

(...)

Film składa się z trzydziestu czterech scen. Gdybyśmy zdecydowali się na opowieść według metody one by one zajęłoby to nam „x” akapitów i nie wynikałoby z tego nic więcej, niż wynika z „Adwokata diabła”. Raczej belfot i dezorientacja, co właściwie „autor ma na myśli”. Skoro omawiamy ten (kiepski) film, spróbujmy człowieka przynajmniej nie torturować metodą on by one, bo by nam pewnie nie wybaczył.

(...)

Otóż scenarzyści, chyba z powodu kompletnego braku weny (lub koki), postanowili, że w końcówce filmu szatan dokona prokreacji, każąc własnemu synowi kazirodczo kochać się z siostrą. Widz w obliczu tej propozycji ma nieodpartą chęć natychmiastowego opuszczenia kina, ale przed realizacją tego zdrowego odruchu powstrzymuje go wrażenie, że ta męka ma się ku niechybnemu

zakończeniu. Widmo, ba!, obietnica napisu „THE END” jest jedynym powodem, dla którego widz zostaje w kinie, bo zawartość ekranu go zeń wygania.

(...)

Ta krytyczna proza mocno poniżej średniego fanzinoowego poziomu, tym bardziej niedopuszczalna u prawnika, wskazuje na spore duchowe napięcie. Mimo, że w pewnej chwili imituje p. Neumann, lekki stosunek do sprawy: Po tych wszystkich zmaganiach mających na celu zaciernienie papieru, a po wtóre możliwie wierne zrelacjonowanie kiepskich aspektów „Adwokata diabła”... – pisze bagatelizująco, ale szybko wychodzi szydło z worka. Chodzi o osobistą urazę i rzeczy podstawowe:

Czas na temat, „który nas tu wszystkich przywiódł”. Nazwałbym go trzecim dramatem Lomaxa – powiada p. Neumann. – Każdy sukces czuje się lepiej, gdy jest uczczony: zwycięstwo mocno opijamy w barze. Jednak dziennikarz nie da spokoju panu mecenasowi: Jakie to uczucie przywrócić wiarygodność takiemu Gettisowi? (oskarżonemu nauczycielowi). Zapamiętajmy to pytanie, bo być może jest ono jednym z podstawowych potrzebnych nie dla zrozumienia kiepskiego filmu, lecz dla pogodzenia się ze swoim własnym zawodem i samopoczuciem.

Słowo „sumienie” w wywodzie nie pada, ale i o nie bez wątpienia tu chodzi.

DRAMAT LOMAXA

W kwestii owego sumienia czy samopoczucia wypowiada się p. Neumann już mniej barwnie i nie tak ofensywnie. Podkreśla zasadniczą

formułę: **Zadaniem adwokata jest zawsze uzyskanie łagodniejszego wyroku, a tam gdzie się należy wyroku uniewinniającego, ale nie za wszelką cenę – by parę akapitów dalej dodać – rzeczą adwokata jest obrona oskarżonego a nie jego etyczne osądzanie.**

No dobrze, ale co począć z zarysowaną w filmie sytuacją praktyczną, kiedy Lomax broniąc aktywnego pedofila, dręczy de facto przed publicznością jego ofiarę. A potem jeszcze osłania morderców i kryje ich ciemne interesy. Odstąpienie od obrony jest w myśl adwokackiego etosu niedozwolone (choć i u nas poznaliśmy w ostatnich dniach taki przypadek). Trwanie przy niegodziwym kliencie będzie podejrzane moralnie. To paradoks, groźny, przerażający, pułapka wcale nie teoretyczna – Hackford namawia widza by się nad tym wszystkim zastanowił, ale polski adwokat i publicysta odmawia twórcy posłuchania. Ba, daje filmowi odpór, symulując krytykę filmową w sposób nerwowy i nieprofesjonalny.

Pan Neumann próbuje też poprawić sobie i nam samopoczucie przypominając o różnicach między systemem prawnym polskim i amerykańskim. To może nie wystarczyć. Niby nie mamy takiej sprawy jak karny i cywilny proces O.J. Simpsona, który podczas jednej rozprawy ze względu na „czarny” skład ławy przysięgłych został zwolniony z zarzutu morderstwa żony i jej kochanka, ale w drugiej skazano go na wypłacenie za ów mord odszkodowania. Ale mamy polityka, którego donosy się zachowały, lecz został uwolniony z zarzutu kolaboracji. Mam aferę hazardową, której nie było. Pośtanekę, która wzięła łapówkę, ale jej nie wzięła. Generatów, którzy kazali strzelać do ludzi, a osądzonych za udział w bójce. Mamy młodego poetę zamordowanego przez milicję i jej krętaczącą zwierchność, czego teraz podobno nie można na głos powiedzieć w sejmie z powodu braku prawomocnego wyroku.

Mamy adwokatów świadczących nieregulaminowe usługi w światku przestępczości zorganizowanej, w wyniku czego funkcjonuje już w branży pojęcie „adwokata mafii”. Wizerunek adwokata rycerza, który w czasach PRL służył swą wiedzą i odwagą prześladowanej demokratycznej opozycji, dawno został w oczach polskiej opinii publicznej doszczętnie zszargany. Dziś nazywamy go papugą.

Sprawa O.J. Simpsona nawiasem mówiąc też stała się punktem wyjścia do realizacji filmu, żeby było ciekawiej – fantastycznego, a w dodatku bardzo wyrafinowanego horroru. David Lynch wyznał parę lat temu Wojtkowi Orlińskiemu w wywiadzie dla „Wyborczej”, że figura dokonującego morderstwa bohatera „Zaginionej autostrady”, zamieniającego się w areszcie w innego człowieka, któremu nic nie można zarzucić – zrodziła się w jego głowie pod wpływem szoku wywołanego właśnie sprawą O.J.S. Toteż, zanim okażemy wyższość Amerykanom poczekajmy, jak z naszych domowych prawniczych hańb wybrną polscy twórcy

I nasi adwokaci.

OKOPY FRAZESÓW

„Adwokat diabła” to stare pojęcie wzięte z jurysdykcji kościelnej, potem się od niej oddzieliło. Chodzi o osobę pełniącą ważną rolę w procesie kanonizacyjnym, beatyfikacyjnym. Taki ktoś, najczęściej kardynał, gromadzi i przedstawia dokumenty oraz fakty świadczące przeciw uznaniu kandydata na świętego. De facto lustruje kandydata. Świadkowie Jehowy, których kiedyś wpuściłem do domu, i którzy ze zgrozzeniem czynili mi wymówki z powodu kościelnego kultu świętych, w ogóle nie mieli pojęcia o istnieniu takiej weryfikacyjnej instancji.



proces O.J. Simpsona



Oczywiście, przyjęcie w naszych czasach akurat zawodu prawnika, jako diabelskiej profesji, nie było przypadkiem. Szatan to z definicji krętacz, odwracacz wartości, kłamca i przedrzeźniacz. Sfałszowany proces jest diabelską parodią Sądu Ostatecznego. Idee prawdy i sprawiedliwości zastąpiła w nim gra procedur, ambicji, wpływów i sił – to akt profanacji i człowieczej pychy.

Choć teraz widz mądrzejszy o doświadczenie 11.09.2001, o wiedzę dotyczącą przyczyn globalnego finansowego kryzysu, z łatwością znajdzie więcej branż „diabelskich”. Wszyscy właściwie, a więc i filmowcy czekamy, kiedy opamiętają się bankowcy („Wall Street”, „Chciwość”), politycy („Idy Marcowe”), policjanci („Układ zamknięty”), a także dziennikarze, sportowcy, psychiatry, księża, mężczyźni i kobiety. Kiedy wystawią głowy nad okopy chroniących ich korporacyjnych frazesów (czy jak to mówią dyskursu bądź liberalnej nowomowy). Kultura próbuje przywołać ich wszystkich do porządku, między innymi sztuką wyobraźni, ale adresaci woła nie deszyfrować jej kodów

„Adwokat diabła” jest takim ciekawym przykładem wykorzystania fantastyki. Poetyka religijnego horroru, który pan Naumann bezzasadnie lekceważy i nazywa gatunkiem niskim, służy do artikulacji duchowego problemu jednostkowego, ale też dotyczącego całej cywilizacji. W korporacjach, w handlu, przemyśle, w wojsku, reklamie, na sali sądowej i politycznych salonach, w biurach projektowych, w zarządach koncernów, w parlamentach, na redakcyjnych kolegiach... zespoły i jednostki stale stawiane są wobec fundamentalnego wyboru. Czy mają pozostać wierne paru prostym, wpojonym jeszcze w dzieciństwie, a wywiedzionym najczęściej z religii zasadom – czy oddać się obliczonej wyłącznie na zwycięstwo sformalizowanej grze biz-

nesowej, politycznej, propagandowej, reklamowej, wojennej, mafijnej, jurystycznej, psychologicznej?... Świat, który zapomni o czyhającym diable i wyrzeknie się religijnych fundamentów (taka jest teza Hackforda) stanie się straszny i rozleci w drzazgi wśród potępięńczych okrzyków bólu i rozpacz. W filmie parokrotnie przypomina o tym matka Lomaxa, przywołując XVIII rozdział „Apokalipsy Świętego Jana” traktujący o upadku wielkiego, lecz niemoralnego Babilonu.

Maciej Parowski

„Adwokat diabła” (*The Devil's Advocate*). Reżyseria: Taylor Hackford. Scenariusz: Jonathan Lemkin i Tony Gilroy na podstawie powieści Andrew Neidermana. Zdjęcia: Andrzej Bartkowiak. Muzyka: James Newton Howard. Efekty: Rick Baker, Richard Greenberg i Stephanie Powell. Występują: Keanu Reeves, Al Pacino, Charlize Theron, Jeffrey Jones, Judith Ivey. USA 1997.



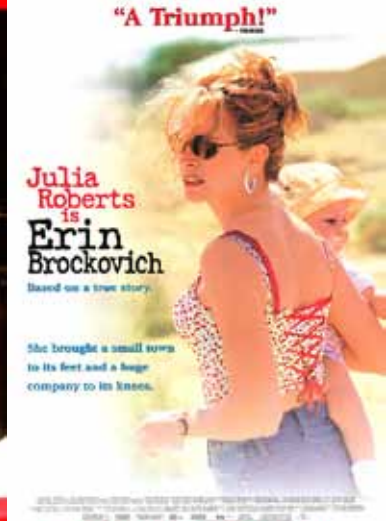
„Układ zamknięty”



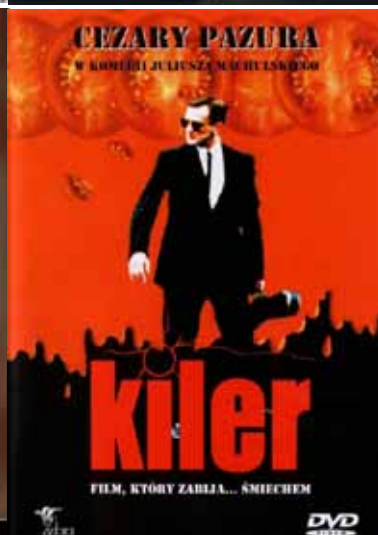
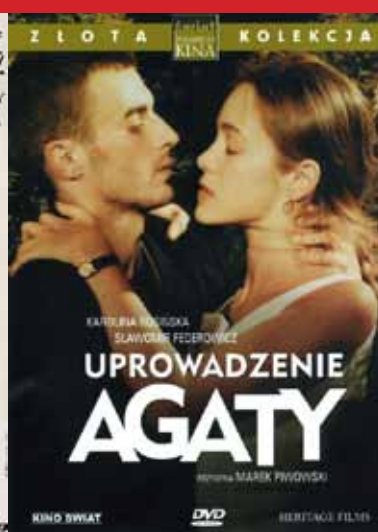
„Wall Street”

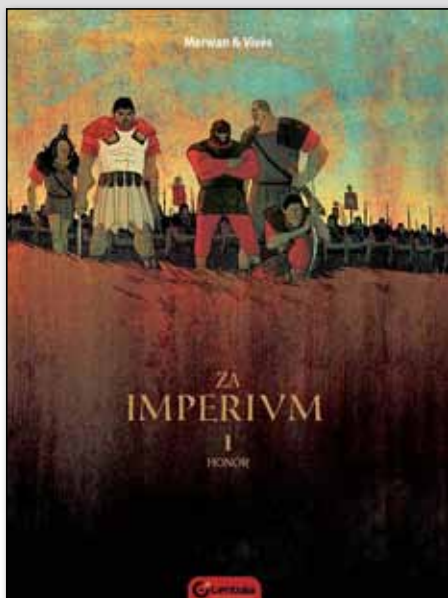


„Chciwość”



Plakaty do filmów omawianych w pracy zbiorowej „Prawo w filmie”





RZYM W KOLORZE WOJNY

Brutalne ale i nieco zabawne losy elitarnego oddziału wyruszającego na podbój nieznanego.

KOMIKS

Ziemiste, metaliczne barwy i odcienie brązów, zieleni, fioletów wspaniale kontrastują z czerwieniami krwi, ognia i rzymskich szat wojowników. Całość sprawia wrażenie przykurzonych, wyblakłych i zanieczyszczonych starożytnych fresków wydobytych z ruin Pompejów. Pod względem warstwy graficznej album ten wyróżnia się zdecydowanie, jawiąc się niczym małe dzieło sztuki, mogące z powodzeniem wypełniać gabloty znanych muzeów.

Sama opowieść przedstawia losy dość buńczuczny elitarny oddział rzymskiej armii, zaprawionego w licznych krwawych i brutalnych bojach. Najlepsi z najlepszych, po zdobyciu wszystkiego, co było do zdobycia, otrzymują od cesarza specjalną misję, której celem jest poszukiwanie i podbicie krain poza granicami imperium. Merwan w sposób lekko zabawny, a jednocześnie bardzo dosadny prezentuje surowe i pozbawione wygód życie żołnierzy. Pomimo hardości i świńskich zwyczajów bardzo łatwo polubić głównych bohaterów, wykreowanych tutaj jako wzory rycerskich cnót: honorowych, oddanych i godnych zaufania. Pierwszy tom dopiero rozpoczyna ich przygodę, jednocześnie dając nadzieję i zaostrować apetyt na nieprzewidywalne rozegranie napoczętych wątków. Mająca za horyzontem tajemnica zaskoczy zapewne nie tylko dzielnych rzymskich wojów.

„Za Imperium” to zachwycający album, przepięknie zilustrowany i ciekawie opowiedziany, w pełni zaspokajający głód opowieści o starożytności, mogący z powodzeniem wypełnić lukę po zakończonym właśnie serialowym „Spartacusie”. Historia Glorima Cortisa i jego legionu zamknie się w trzech tomach.

Paweł Deptuch

ZA IMPERIUM #1: HONOR. Scenariusz: Merwan Chabate, rysunki: Bastien Vives. Centrala 2013. Cena: 34,90 zł



DOKTOR I KAPITAN W JEDNYM STALI DOMKU

PAWEŁ DEPTUCH



ZIŚCIŁ SIĘ MOKRY
SEN FANÓW,
W KTÓRYM
PRZENIKAJĄ SIĘ
UNIWERSA DWÓCH
SŁYNNYCH SERII
TELEWIZYJNYCH. CO
CIEKAWIE, WYSZŁO
TO NADZWYCZAJ
DOBRE.



Z crossoverami często bywa tak, że ich jedynym zadaniem jest zwyluskać z kieszeni fanów dwóch znanych marek trochę więcej grosza niż zazwyczaj. Same historie nie reprezentują sobą zbyt wiele, a schemat takich spotkań jest zazwyczaj jeden: pojawia się wielkie zagrożenie, bohaterowie najpierw spuszczaają sobie manto, potem okazuje się, że jednak stoją po tej samej stronie barykady, łączą siły i wspólnie zażegnują niebezpieczeństwo. Widzieliśmy i czytaliśmy takie opowieści wiele razy, ostatnio chociażby w „Avengersach” Jossy Whedona, czy wielu wspólnych komiksach Marvela i DC. A co się stanie, gdy dojdzie do interakcji pomiędzy bohaterami kierującymi się wyłącznie logiką i dyplomacją, o pokojowym nastawieniu, zajmującymi się eksploracją oraz badaniem obcych światów i cywilizacji? Nudy, pomyślicie. Niekoniecznie.

Zjednoczona Federacja Planet kolejny raz zostaje zaatakowana przez kolektyw Borg. Jednak tym razem ich taktyka różni się od dotychczasowej. Szybki, niezapowiedziany napad kończy się śmiercią bądź asymilacją mieszkańców całej Deltę IV. Okazuje się, że drony mają sprzymierzeńca w postaci Cybermanów – bezwzględnych, cybernetycznych wojowników. Gdy flota nieprzyjacielskich okrętów rozpoczyna inwazję na kolejne planety, Doktor, wraz ze swymi

kompanami, Amy i Rorym, kończy pobyt w starożytnym Egipcie i wyrusza w następną emocjonującą przygodę. Jak to najczęściej bywa, nie trafiają tam gdzie chcą, a tam gdzie przeniesie ich Tardis – w miejsca, w których obecność ostatniego żyjącego Władcy Czasu jest niezbędna. Tym samym lądują na pokładzie USS Enterprise, gdzie kapitanem jest Jean-Luc Picard. Po wymianie uprzejmości, w atmosferze lekkiego niepokoju i braku zaufania, na jaw wychodzi fakt napaści. Załoga NCC-1701-D nieoczekiwanie musi połączyć siły z Doktorem, który jako jedyny zdaje się posiadać informacje o nieznanych Federacji Cybermanach.

Dwutomowy komiks „Star Trek TNG / Doctor Who: Assimilation 2” to przykład klasycznego schematu crossovera, pozbawiony jednak żenujących przywar pierwszego spotkania. Zamiast klepać się po pyskach, zarówno Picard jak i Doktor obwążują się, mierzą siły na zamiary, chcą poznać nieznane. W tym momencie można zauważyć jak wiele wspólnego mają ze sobą „Star Trek” i „Doctor Who” – główni bohaterowie to analitycy, ciekawi świata, rozsądni, o pokojowym usposobieniu, a ich uniwersa zawierają wiele wspólnych elementów (jak właśnie cybernetyczne rasy Borg i Cybermen, czy wojowniczy Klingoni i Sontaranie).



Bracia Tipton, poruszający się po świecie Star Treka jak po własnej kieszeni, opowiedzieli nadzwyczaj wciągającą historię, przyjazną zarówno dla Trekkies jak i Whovian. „Assimilation2” to typowy stand-alone, niewymagający znajomości innych opowieści, który świetnie zazębia się zarówno z jednym jak i drugim uniwersum. Scenarzyści po mistrzowsku ujęli atmosferę obu seriali telewizyjnych, sprawiając że przygoda ta, zamknięta w dwóch epizodach, mogłaby być częścią regularnie emitowanych odcinków. Choć można ją czytać bez znajomości obu marek, pełno w niej nawiązań, smaczków, retrospekcji i futurospekcji, a także gościnny występ załogi Enterprise NCC-1701, w osobach kpt. Kirka, Spocka i Scotty’ego a także czwartego Doktora. Jest też mnóstwo akcji, w której wykazują się zarówno Doktor, Worf, Rory i Data. Nie brakuje również trzymających w napięciu cliffhangerów. Pomimo sporej ilości dialogów i monologów, nie uświadczymy tutaj nudy.

Uroku całości dodają fotorealistyczne grafiki J.K Woodwarda, w pełni wykorzystującego swe malarskie zdolności. Odwzorowanie twarzy i mimiki aktorów, ilość szczegółów na drugim i trzecim

planie, a także kolorystyka sprawiają wrażenie kadrów wyciętych prosto ze szpul taśmy filmowej. Pierwsze sceny ataku na Deltę IV, czy też wycieczka w przyszłość i wizja Federacji zdevastowanej przez Cybermanów, wręcz zapierają dech w piersiach. Artysta w niepowtarzalny sposób uwiarygodnia przedstawioną przygodę i nadaje jej odpowiedniej dynamiki.

„Assimilation2” spotkało się z aprobatą zarówno wybrednych fanów jak i krytyków. Zasluga w tym nie tyle nadzoru ze strony stacji CBS i BBC, ale autentycznej fascynacji i dużego szacunku twórców do obu uniwersów. To nie tylko wciągająca i zapadająca w pamięć przygoda, ale też jeden z najciekawszych crossoverów ostatnich czasów, pozostawiający po sobie miłe wrażenia i mała furtkę na ewentualną kontynuację. Warto się zapoznać, chociażby w kontekście nowej odsłony kinowego „Star Treka”, czy też zbliżającej się, okrągłej rocznicy powstania „Doktora Who”.

STAR TREK THE NEXT GENERATION / DOCTOR WHO: ASSIMILATION2. Scenariusz: Scott i David Tipton, Tony Lee. Rysunki: J.K. Woodward, Gordon Purcell. IDW Publishing 2012. Cena: 2 x 17,99\$



JACEK DUKAJ

ROMANTYZM TERRORYZMU CZYLI „XAVRAS WYŻRYN I INNE FIKCJE NARODOWE”

Polska walcząca i pytająca

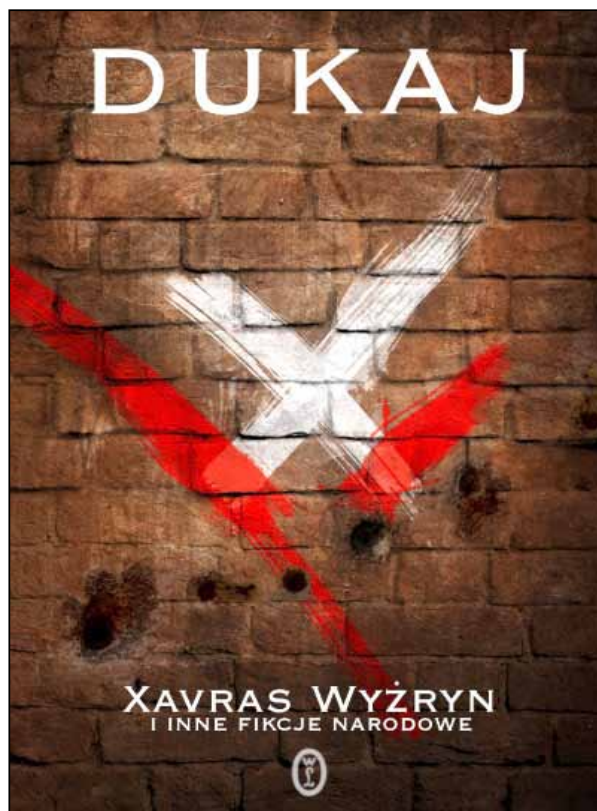
„Xavras Wyżryn i inne fikcje narodowe” to zbiór opowiadań, które zadają naprawdę ciekawe pytania. Jak może wyglądać proces jednej dwunastej dyktatora? Co robi racjonalny antysemita? Jak zapanować nad golemem, który wziął panowanie nad sobą w swoje ręce? I wreszcie, co by było, gdyby Polska nigdy nie odzyskała niepodległości, gdyby zdesperowani ludzie pokroju tytułowego Xavrasa Wyżryna uznali, że jedyną, ostatnią deską ratunku jest zwrócenie się ku klasycznemu rozwiązaniu dla wojny asymetrycznej, czyli terroryzmowi? Jak mogliby walczyć Polacy? Czy mogliby coś osiągnąć?

BOMBonierka tematów

Tytułowe opowiadanie zrobiło na mnie największe wrażenie. Kiedy czytałem je po raz pierwszy, miejscami mnie nużyło, nie do końca rozumiałem, dlaczego niektóre rzeczy są opisane z taką dokładnością, a potem, w sumie przez przypadek, przeczytałem jeden, mały akapit zamieszczony na osobnej stronie po opowiadaniu. Zmusiło mnie to do przeczytania go jeszcze raz – i nagle wszystko było jasne jak wybuch bomby atomowej. Siła tego małego akapitu po czymś, co wydawało mi się kolejnym, nieco przydługim opowiadaniem pod tytułem „co by było, gdyby” zmieniła całość w „a co, jeśli jest?” i zmusiła mnie do odłożenia książki na półkę i przemyślenia pewnych spraw

Popisowe opisy

Opisy są bogate jak król Midas zanim zorientował się, że nic nie może zjeść. Gdyby porównać „Xavrasa Wyżryna” do obrazu, mieliśmy przed sobą szczegółowy, realistyczny malunek oddający dokładnie każdy kawałek rzeczywistości otaczającej tytułowego bohatera. Nie zamierzam opisywać fabuły, ale myślę, że wszyscy się już z nią poniekąd zetknęli. I tak napisałem już za dużo. Mała rada dla niecierpliwych czytelników: nie opuszczajcie ani fragmentu tekstu, wszystko ma tutaj znaczenie, a każda opowiadaniowa czekoladka pozostaje na długo w pamięci. Oczywiście z powodu wyjątkowego smaku, a nie niestrawności.



To czytać, nie czytać?

Głosem mocnym i pewnym, z całą pewnością powiedzieć mogę: CZYTAĆ! Nie ma żadnych „ale”. Nie ma wymówek. To jest coś, co przeczytać trzeba.

MARK HEMMERLING

PIGUŁKI NA ALERGIĘ NA SF CZYLI „PILLON I SYNOWIE”

Wyciąg z SF o natężeniu wysokim

„Pillon i synowie” Hemmerlinga zawiera wszystkie elementy gatunku science fiction, jakie tylko mogą przyjąć człowiekowi do głowy: są statki kosmiczne, dalekie wyprawy, korporacje i ta specyficzna atmosfera. Co więcej, pojawiają się tam klasyczne wątki, ale podane w nieco innej oprawie: walki na innych planetach, spisek korporacyjno-państwowy, niespodziewane zwroty akcji... a to wszystko na zaledwie 135 stronach powieści. Dlatego do książki

„Pillon i Synowie” należy podchodzić podobnie jak do paczuszki tabletek na kaszel: właściwa dawka wyleczy cię z niechęci do science fiction, ale zbyt duża spowoduje, że się natraskasz.

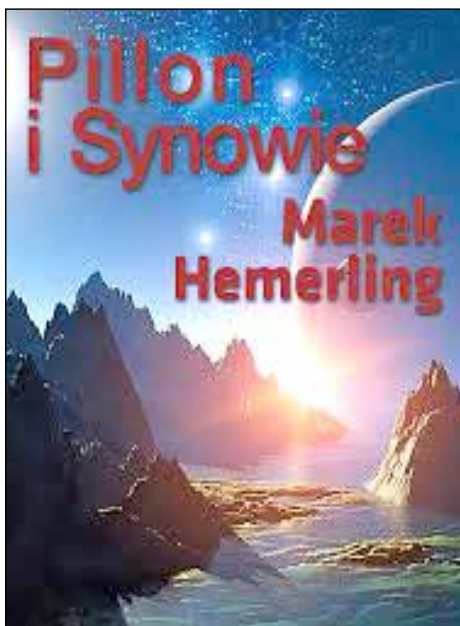
Opis działania

Fani Asimova z pewnością znajdą tu coś dla siebie – fabuła zawiera sporo nawiązań do klasycznego cyklu amerykańskiego pisarza, więc co uważniejszy czytelnik nie raz i nie dwa

uśmiechnie się pod nosem, przerzucając karty książki. Akcja pędzi jak skrzyżowanie japońskiego pociągu z turboodrzutowcem na sterydach, nieraz zostawiając stację „wątek poboczny” gdzieś na boku, pusty, w oddali; ani czytelnik się zdąży zorientować, gdzie właśnie był. I choć chwilami szkoda, że to tempo nie zostało poświęcone dla rozwinięcia fabuły, czyta się dobrze.

Skutki przedawkowania

Jak już pisałem, należy być ostrożnym. Ja połknąłem tę pigułkę w jeden wieczór i wywołała we mnie nieodpartą chęć przeczytania czegoś cięższego, mocnego, byle w klimacie SF. Minusem książki jest to, że



pozostawia spory niedosyt – chciałoby się wiedzieć, jakie będą dalsze losy synów Dominika Pillona i jego korporacji.

To czytać, nie czytać?

Zastanawiam się, komu by to polecić? Myślę, że książka byłaby dobrym wyborem dla osób, które dopiero zapoznają się z gatunkiem. Oczywiście, dzięki sporej liczbie nawiązań do „Fundacji” Asimova, wielbiciele gatunku również powinni wziąć tę książkę pod uwagę podczas przyszłych wyborów czytelnich. W przeciwieństwie do Morfeusza z „Matriksa” Hemmerling nie proponuje dwóch pigulek, ale daje prosty wybór: bierz, albo nie bierz. No i co?

ALDOUS HUXLEY

DRUGI KONIEC SPEKTRUM ORWELLA CZYLI „NOWY WSPANIAŁY ŚWIAT”

„Nowy wspaniały świat” to jedna z moich ulubionych książek. Napisana w 1932 roku, opisuje rok 2541; rok, w którym wszystkie troski ludzkości zdają się jedynie niewyraźnymi marami przeszłości. Nastąpiła epoka powszechnego szczęścia, zorganizowania obywatelskiego, czas, kiedy nikt nie jest samotny, czas powszechnego piękna. Ale pod tym pięknem nie do ogarnięcia, pod powszechnym szczęściem kryje się strach. Nie jest to strach bohaterów powieści; jest to strach autora, który nie chce mieć racji.

Wizja (prawie) spełniona

Obecnie często zestawia się „Nowy wspaniały świat” z „Rokiem 1984” Orwella. Obie książki reprezentują dwa końce jednego spektrum strachu. Orwell bał się, że to, czego się boimy i nienawidzimy zniszczy nas; że zapanuje era powszechnej inwigilacji, że prawda będzie przed nami ukrywana, a książki będą cenzurowane na potęgę. Huxley z kolei znalazł się na drugim końcu spektrum strachu – on z kolei bał się, że zniszczy nas to, co kochamy. Huxley bał się, że nie będzie już żadnej potrzeby inwigilacji, ponieważ każdy obywatel udostępni swoje dane dobrowolnie, że prawdziwa i ważna informacja będzie zawsze dostępna, tylko nikomu nie będzie się chciało po nią sięgnąć, ponieważ sięgający utonie w morzu informacji nieważnych. Wreszcie, nikomu nie będzie się chciało cenzurować książek, ponieważ nie będzie takiej potrzeby; nikt

nie będzie ich czytał. Potencjalny obywatel mając przed sobą seans telewizyjny i przeczytanie książki wybierze rzecz o wiele przyjemniejszą i łatwiejszą: telewizję. Pozostaje jedno pytanie: kto będzie miał rację?

I czy w ogóle któryś z nich będzie miał rację? Pewne jest jedno: my na pewno się o tym nie dowiemy.



Opisany strach

Huxley stworzył ze swojego strachu perfekcyjną antyutopię, fascynującą i jednocześnie przerażającą. Opisy zawarte w utworze dzięki swej prostocie uderzają z niesamowitą siłą. Nieraz przy lekturze opisu poglądów ludzi roku 2541 można złapać się za głowę i pomyśleć: *ubi sis futurum, humana?* Strach Huxleya zawarty w książce jest jedynie ostrzeżeniem, które mimo upływu czasu nie straciło na aktualności, a może nawet na niej zyskało.

To czytać, nie czytać?

Uważam, że nie ma co się bać strachu autora i zachęcam do lektury. Wbrew pozorom i na przekór trudnej tematyce, czyta się z wypiekami na twarzy. Książkę najlepiej czytać jednym tchem, łykiem, nie przerywać, pozwolić się jej prowadzić przez pola strachu autora. Dlatego czytać, czytać od deski do deski, czytać uważnie! Naprawdę warto.